



Odeszła Elżbieta Dołęga-Wrzosek – sumienie polskiej oświaty na Białorusi

24 lutego, w wieku 95 lat, w szpitalu w Baranowiczach zmarła Elżbieta Dołęga-Wrzosek — kobieta, która ocaliła ludzkie życie, wychowała pokolenia młodych Polaków i stworzyła pierwszą po wojnie polską szkołę na Białorusi. Jej odwaga, dobroć i niezłomna wierność polskości ukształtowały całe środowisko polskie w Baranowiczach, a jej wychowankowie pozostaną na wiele lat kontynuatorami i świadkami jej niezwykłych dokonań.

W Baranowiczach zgasło światło, którego blasku nie sposób zmierzyć. Elżbieta Dołęga-Wrzosek była jedną z tych osób, które zmieniają świat nie krzykiem, lecz cichą, codzienną pracą. Jej życie — naznaczone wojną, stratą córki — śp. Teresy Sieliwończyk, odpowiedzialnością i niezwykłą miłością do ludzi — stało się świadectwem, że dobro może przetrwać nawet najtrudniejsze czasy.

Jako trzynastoletnia dziewczynka usłyszała od matki, Teresy Dołęgi-Wrzosek, łączniczki Armii Krajowej, słowa, które stały się jej życiowym testamentem:

„Córeńko, pamiętaj, i to najważniejsze, żeś Polka, że masz tych dwóch chłopców, o których musisz dbać, i pamiętaj, że w naszej rodzinie wszyscy zawsze mieli dobre wykształcenie”.

Ten nakaz niosła w sobie przez całe życie — i przekazywała go dalej, setkom dzieci, które uczyła.

W czasie wojny wraz z matką ocalała dwóch chłopców — Ryśka i Jurka — za co została uhonorowana tytułem



Echa Polskości

Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. To jedno z najpiękniejszych świadectw jej człowieczeństwa: w świecie pełnym strachu potrafiła wybrać dobro.

Po wojnie stała się fundamentem polskiej oświaty na Białorusi. W swoim mieszkaniu zaczęła uczyć dzieci języka polskiego — najpierw kilkoro, potem dziesiątki, aż w końcu setki. Z czasem stworzyła Społeczną Szkołę Polską im.

Tadeusza Rejtana w Baranowiczach, pierwszą po wojnie polską szkołę na Białorusi. Dla uczniów była nie tylko nauczycielką. Była drugą mamą, przewodniczką, kimś, kto dawał poczucie bezpieczeństwa i sensu.

Jej szkoła wychowała lekarzy, inżynierów, artystów, naukowców — ludzi, którzy dziś rozsiani są po świecie, ale wciąż noszą w sobie jej słowa, jej

uśmiech, jej wiarę w człowieka.

Ostatnie lata przyniosły jej wiele bólu: śmierć ukochanej córki Teresy Sieliwończyk, współtwórczyni polskiego życia w Baranowiczach, oraz likwidację szkoły, która była dziełem jej życia. A jednak Elżbieta Dołęga-Wrzosek pozostała pogodna, ciepła, pełna godności. Nigdy nie przestała wierzyć, że dobro ma sens.

Dziś żegnamy Ją z wdzięcznością. Za odwagę. Za mądrość. Za polskość, którą niosła jak skarb — nie dla siebie, lecz dla innych.

Jej światło nie zgasło. Będzie świecić w każdym, kto choć raz usłyszał od niej:

„Pamiętaj, żeś Polak...”

Redakcja Głosu

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy AK

W 84. rocznicę utworzenia Armii Krajowej, oddajemy hołd żołnierzom największej podziemnej armii okupowanej Europy. W dniu 14 lutego przypominamy o genezie AK, jej roli w Polskim Państwie Podziemnym oraz o tych, którzy w konspiracji walczyli o wolność, choć po wojnie często byli prześladowani.

Armia Krajowa została powołana 14 lutego 1942 roku rozkazem Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego, który przekształcił Związek Walki Zbrojnej w jednolitą, ogólnokrajową organizację wojskową podporządkowaną rządowi RP na uchodźstwie. Jej początki sięgają jednak pierwszych dni okupacji, kiedy to powstała Służba Zwycięstwu Polski, a następnie Zwią-

zek Walki Zbrojnej (ZWZ) — struktury, które stopniowo budowały fundamenty przyszłej AK. Formacja ta objęła swoim zasięgiem cały kraj, tworząc rozbudowaną sieć konspiracyjną, prowadząc działania dywersyjne, wywiadowcze i sabotażowe oraz przygotowując plan powstania powszechnego.

Historycy podkreślają, że Armia Krajowa była nie tylko siłą zbrojną, lecz także integralną częścią Polskiego Państwa Podziemnego. Badacze zwracają uwagę na jej wyjątkową skalę, profesjonalizm i zdolność do działania w warunkach skrajnego zagrożenia.

W literaturze naukowej często podkreśla się znaczenie polskiego wywiadu, który dostarczał aliantom kluczowych informacji, m.in. dotyczących niemieckich prac nad bronią V-2 (niem. Vergeltungswaffe 2, czyli «broń odwetowa nr 2», pierwszy na świecie bojowy

pocisk balistyczny dalekiego zasięgu — red.).

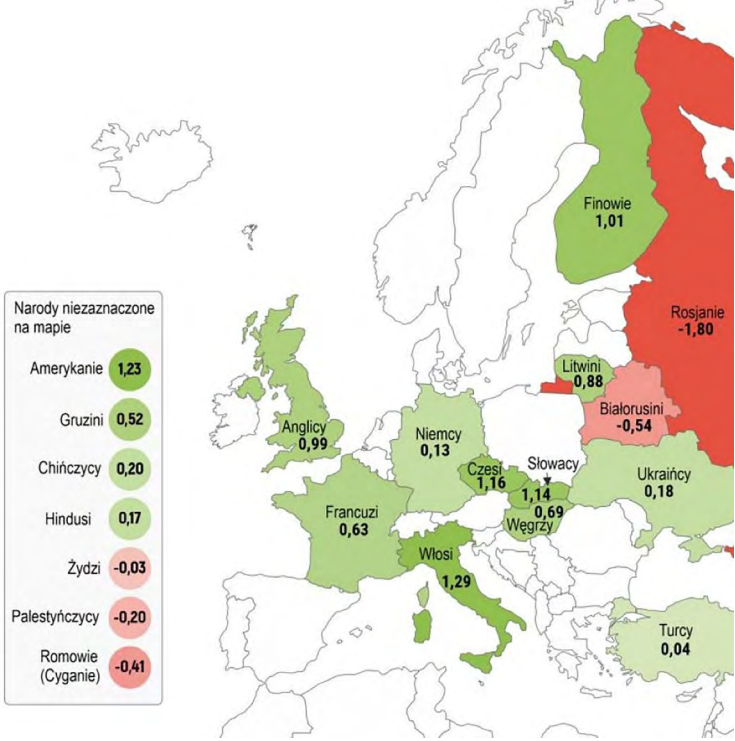
W rocznicowych wystąpieniach przedstawiciele władz państwowych przypominają, że pamięć o żołnierzach AK jest elementem polskiej tożsamości i świadectwem ciągłości dążeń niepodległościowych. Podkreśla się, że ich działalność była wyrazem obywatelskiej odpowiedzialności i wierności państwu, które mimo okupacji istniało w strukturach podziemnych.

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej jest okazją do refleksji nad historią, ale także nad współczesnym znaczeniem wartości, które przyświecały konspiratorom.

To dzień, w którym pamięć o ich odwadze i determinacji staje się przypomnieniem o cenie wolności i o obowiązku jej pielęgnowania.

Adolf Gorzowski





Polacy coraz chłodniej patrzą na Białorusinów

Najświeższy sondaż CBOS pokazuje wyraźny wzrost niechęci Polaków wobec części narodowości. Białorusini znaleźli się w grupie trzech najmniej lubianych nacji, z 46-procentowym poziomem deklarowanej niechęci. Niżej w rankingu plasują się jedynie Rosjanie oraz Romowie.

Z opublikowanego przez CBOS raportu wynika, że w 2026 roku Polacy najczęściej deklarują sympatię wobec Włochów, Czechów i Słowaków. Włosi pozostają liderami zestawienia, budząc pozytywne emocje u 58 proc. badanych, a negatywne jedynie u 7 proc. Pozytywnie oceniani są także Anglicy, Amerykanie, Litwini i Węgry. Jednocześnie trzeci rok z rzędu pogarsza się stosunek Polaków do narodów, które zyskały w ich oczach tuż po wybuchu wojny w Ukrainie — m.in. do Amerykanów, Anglików i Ukraińców. Największą niechęć Polacy deklarują wobec Rosjan, których negatywnie ocenia aż 74 proc. respondentów. Na drugim miejscu znajdują się ex aequo Białorusini i Romowie, wobec których niechęć wyraża po 46 proc. ankietowanych. Sympatię wobec Białorusinów deklaruje jedynie 19 proc. badanych, co potwierdzają również omówienia sondażu w PAP i RMF24.

Eksperti zajmujący się opinią publiczną wskazują, że chłodny stosunek Polaków do Białorusinów nie wynika z doświadczeń kulturowych czy historycznych, lecz z wydarzeń politycznych ostatnich lat. Wizerunek Białorusi został silnie obciążony współpracą reżimu Aleksandra Łukaszenki z Rosją, zwłaszcza udostępnieniem terytorium do ataków na Ukrainę.

W polskiej percepcji często dochodzi do utożsamienia państwa z narodem, co obniża sympatię wobec Białorusinów jako grupy. Dodatkowym czynnikiem jest kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej, postrzegany jako element presji hybrydowej, co w naturalny sposób budzi negatywne emocje. Na niekorzyść Białorusinów działa również niska widoczność pozytywnego przekazu o ich społeczeństwie — w przeciwieństwie do Ukraińców, którzy są w Polsce liczni i dobrze obecni w mediach, Białorusini pozostają mniej zauważalni, a ich obraz kształtują głównie informacje o działaniach reżimu.

Psychologowie społeczni zwracają uwagę na tzw. efekt «bliskości negatywnej»: narody sąsiadujące z agresorem często dzielą jego wizerunek, nawet jeśli nie są współwinne. Wszystkie te czynniki razem sprawiają, że Białorusini znaleźli się wśród narodów ocenianych przez Polaków najchłodniej.

IT-P/CBOS.pl

MSZ zaostrzy zasady Karty Polaka

Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP przygotowało projekt zmian w ustawie o Karcie Polaka, zgodnie z którym dokument ma być wydawany wyłącznie na podstawie potwierdzonego polskiego pochodzenia. Projekt, opublikowany w wykazie prac legislacyjnych rządu, ma zostać przyjęty w drugim kwartale 2026 roku.

MSZ RP opublikowało projekt nowelizacji ustawy o Karcie Polaka, oznaczony numerem UD368, który przewiduje istotne zmiany w procedurze przyznawania dokumentu. Najważniejsza z nich zakłada, że Karta Polaka będzie mogła być wydawana

wyłącznie na podstawie potwierdzonego polskiego pochodzenia. Projekt likwiduje dotychczasową możliwość ubiegania się o dokument na podstawie rekomendacji organizacji polskich lub polonijnych, które mogły potwierdzać wieloletnią działalność na rzecz języka i kultury polskiej.

Nowelizacja przewiduje również, że osoby, które w przeszłości zrzekły się polskiego obywatelstwa, utracą prawo do ubiegania się o Kartę Polaka. MSZ zapowiada także zmiany w katalogu uprawnień przysługujących posiadaczom dokumentu, jednak szczegółowe propozycje nie zostały jeszcze przedstawione. Według zapowiedzi, projekt ma zostać przyjęty przez Radę Ministrów w drugim kwartale bieżącego roku.

IT-P/Gov.pl

59. miesięcznica uwiecznienia

25 lutego mieszkańcy Białegostoku oraz przedstawiciele lokalnej społeczności politycznych uchodźców z Białorusi zebrałi się na skwerze przy pomniku ks. Jerzego Popiełuszki, by uczcić 59. miesięcznicę uwiecznienia Andrzeja Poczobuta, dziennikarza i działacza polskiej mniejszości narodowej na Białorusi.

Podczas zgromadzenia mieszkańcy oraz polityczni uchodźcy z Białorusi wyrazili solidarność z Andrzejem Poczobutem, przetrzymywanym w jednej z najcięższych białoruskich kolonii karnych w Nowopołocku na północy kraju. Uczestnicy podkreślali znaczenie regularnych spotkań, które mają utrzymywać



uwagę opinii publicznej na jego losie oraz na sytuacji osób represjonowanych na Białorusi.

W trakcie wydarzenia przypomniano o nieludzkich warunkach, w jakich przebywa dziennikarz, oraz o tym, że jego

sprawa stała się symbolem walki o wolność słowa. Zgromadzenie przebiegło spokojnie, a organizatorzy zapowiedzieli kontynuację comiesięcznych akcji solidarności z Andrzejem.

a.pis

Wizowe utrudnienia studiów

Nowe regulacje wizowe, które miały uszczelnić system i ograniczyć nadużycia, w praktyce utrudniają dostęp do polskich uczelni wielu młodym obywatelom Białorusi, mimo że pozostają oni jedną z najliczniejszych grup studiujących w Polsce.

Minione miesiące przyniosły wyraźne zmiany w strukturze studentów zagranicznych. Jak poinformował wiceminister nauki Andrzej Szeptycki, w Polsce studiuje obecnie około 92 tys. obcokrajowców, co stanowi 7,5 proc. wszystkich studentów. Ogólna liczba cudzoziemców spadła nieznacznie, choć na uczelniach publicznych odnotowano wzrost. Wiceminister ocenił, że nowe przepisy wizowe «działają», ponieważ ograniczają napływ osób, które nie przyjeżdżają z realnym zamiarem studiowania, a «trafia do nas więcej prawdziwych studentów, a mniej tych, co do których nasze służby konsularne mają wątpliwości».

W przypadku studentów z Białorusi sytuacja wygląda jednak inaczej. Choć — jak wynika z danych przedstawianych przez rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Piotra Jedynaka — Białoruś pozostaje jedną z najliczniej reprezentowanych narodowości na UJ, dotyczy to przede wszystkim osób, które już studiują. Kandydaci starający się o wjazd do Polski po zmianach w prawie napotykają na rosnące trudności: dłuższe procedury wizowe, większą liczbę odmów, dodatkowe rozmowy w konsulatach oraz bardziej rygorystyczne wymogi, w tym obowiązek potwierdzenia znajomości języka na poziomie B2. W środowisku białoruskiej diaspory i wśród organizacji wspierających studentów mówi się o «efekcie ubocznym» uszczelniania systemu, który uderza także w osoby uciekające przed represjami lub szukające stabilnej edukacji w UE.

Warto przypomnieć, że w latach poprzedzających wprowadzenie nowych



ograniczeń wizowych liczba studentów z Białorusi systematycznie rosła. Według danych z raportów «Studenci zagraniczni w Polsce» ich liczba zwiększyła się z około 6–7 tys. w połowie minionej dekady do ponad 11 tys. w latach 2021–2023, co czyniło ich drugą najliczniejszą grupą. Wzrost ten był efektem zarówno bliskości kulturowej, jak i sytuacji politycznej w Białorusi po 2020 roku, która skłoniła wielu młodych ludzi do szukania bezpiecznego miejsca do studiowania.

Dodatkowym kontekstem jest fakt, że rok temu polscy politycy zapowiadali ułatwienia dla młodzieży polskiego pochodzenia z Białorusi, deklarując uproszczenie procedur, wsparcie stypendialne i szybszą ścieżkę wizową. W praktyce jednak nowe regulacje wizowe wprowadzone w 2025 roku nie tylko nie ułatwiły młodym Polakom z Białorusi przyjazdu, ale w wielu przypadkach go utrudniły.

Nowe przepisy miały ograniczyć nadużycia, zwłaszcza w przypadku kandydatów z Azji i Afryki, jednak w praktyce objęły również młodych ludzi z państw sąsiednich. Wiceminister Szeptycki zwrócił uwagę na sygnały dotyczące powstawania prywatnych uczelni w Polsce, w strukturach właścicielskich których pojawia się kapitał rosyjski. Jak zaznaczył, na takich szkołach pojawiają się osoby, które

«nie do końca są studentami», co budzi obawy służb dotyczące nadużyć wizowych lub prób wykorzystania statusu studenta jako przykrywkę do innych działań.

Tymczasem uczelnie publiczne deklarują, że chcą rozwijać umiędzynarodowienie w sposób jakościowy, nie tylko ilościowy. Jak podkreślają rektorzy, działania te są niezależne od problemów wskazanych przez wiceministra i dotyczą przede wszystkim podnoszenia standardów kształcenia oraz lepszej integracji studentów zagranicznych. W praktyce oznacza to większą selekcję kandydatów, rozwój programów anglojęzycznych oraz działania na rzecz nauczania kultury i języka polskiego. Dla obywateli Białorusi może to być zarówno szansa, jak i bariera — zwłaszcza gdy procedury wizowe stają się coraz bardziej wymagające.

Wiceminister Szeptycki zapowiedział, że priorytetem na najbliższe lata będzie ułatwienie przyjazdu do Polski osobom pochodzenia polskiego, w tym wielu młodym obywatelom Białorusi. Na razie jednak to właśnie oni należą do grupy, która najbardziej odczuwa skutki nowych regulacji, mimo że polskie uczelnie wciąż deklarują otwartość na studentów z sąsiednich krajów.

AG/Naukawpolsce.pl

UE rozważa ograniczenia wizowe

Komisja Europejska w nowej strategii migracyjnej zapowiada wzmocnienie bezpieczeństwa i modernizację systemów kontroli granicznych. Może to skutkować nowymi ograniczeniami wizowymi dla obywateli Białorusi i Rosji.

W dokumentach towarzyszących strategii podkreślono, że oba kraje prowadzą

wobec Wspólnoty działania hybrydowe, m.in. instrumentalizację migracji, co ma destabilizować sytuację na wschodniej granicy. Komisja wskazuje również na rosnącą liczbę prób nadużyć związanych z ruchem wizowym oraz wykorzystywanie migracji jako narzędzia presji politycznej.

Odpowiedzią ma być modernizacja polityki wizowej i pełniejsza integracja systemów informatycznych odpowiedzialnych za kontrolę granic. Do 2028 roku planowane jest uruchomienie

nie scentralizowanego systemu umożliwiającego równoczesne sprawdzanie danych w kilku bazach, co ma zwiększyć skuteczność weryfikacji podróży i ograniczyć ryzyko nielegalnej migracji.

Nowa strategia, przewidziana na pięć lat, ma łączyć wzmocnienie bezpieczeństwa z rozwojem legalnych kanałów migracji, przy zachowaniu zasad praw człowieka oraz uwzględnieniu potrzeb państw członkowskich.

a.pis

Ćwierć wieku troski o Polaków

Ćwierć wieku działalności to w świecie organizacji społecznych czas, który mówi sam za siebie. Fundacja na rzecz Pomocy Dzieciom Grodzieńszczyzny nie tylko przetrwała zmieniające się realia i kryzysy, ale przede wszystkim przez 25 lat pozostawała miejscem realnego wsparcia dla Polaków z Białorusi — zarówno tych, którzy zostali w swoich rodzinnych miejscowościach, jak i tych, którzy musieli szukać nowego życia w Polsce.

O tym, jak wyglądała ta droga, co było w niej najtrudniejsze, a co najpiękniejsze, oraz o tym, jak Fundacja odnajduje się obecnie, rozmawiamy z jej prezesem, Rafałem Cierniakiem, człowiekiem, który od lat stoi na pierwszej linii tej cichej, ale niezwykle ważnej misji.

Fundacja na rzecz Pomocy Dzieciom Grodzieńszczyzny ukończyła 25 lat. Co dziś uważa Pan za jej największy sukces?

– Niezmiennie od wielu już lat uważam, że sukcesem Fundacji są ludzie. Przy czym ludzie pojmowani bardzo szeroko, bo mam na myśli tych, którzy z ramienia Fundacji organizują pomoc, darczyńców, którzy ją umożliwiają, wolontariuszy, którzy ją realizują, jak i – co najważniejsze – tych, do kogo ta pomoc była i jest skierowana, czyli Polaków z Białorusi.

Dla nas jest największą radością, że wszystkie te grupy ludzi mogły się spotkać w jednym czasie i w jednym miejscu. Często nie było to łatwe, czasami było nawet bardzo trudne, ale się udawało. Tym szczególnym miejscem spotkań był i pozostaje nasz Dom Polonii w Żytkiejmach, miejsce stworzone z myślą o Polakach z Białorusi.

To tam najczęściej się spotykaliśmy, rozmawialiśmy o potrzebach środowiska rodaków za wschodnią miedzą, o sposobach realizacji kolejnych przedsięwzięć. Dom Polonii tętnił życiem zwłaszcza latem, kiedy przyjeżdżali do niego dzieci i młodzież, do których ta pomoc była kierowana. Zapraszaliśmy tam także naszych darczyńców. Byliśmy tam my – organizatorzy i wolontariusze – czyli to ogniwo, które łączyło odbiorców pomocy z tymi, którzy tę pomoc umożliwiali.

Dlatego, jeśli mam wskazać jeden największy sukces, to bez wahania powiem: ludzie oraz magiczne dla wielu z nas miejsce – Żytkiejmy i Dom Polonii, do którego niezmiennie zapraszamy wszystkich.

Oszacuje Pan, jak wiele dzieci przez te lata odwiedziło Żytkiejmy?

– Z naszych wycień, które od czasu do czasu robimy, wynika, że było tego ponad pięć tysięcy osób. Mówimy o ludziach, którzy skorzystali z pobytu w Żytkiejmach w różnych formach – głównie letniego pobytu edukacyjno-wypoczynkowego, ale także innych akcji, które tam się odbywały, jak choćby Dni Nauczyciela czy «Podarujmy Dzieciom Świąta». To naprawdę spora grupa Polaków z Białorusi.

Czy pamięta Pan moment, w którym pojawiło się przekonanie, że to, co robicie, naprawdę ma sens?

– Nie potrafię wskazać jednego konkretnego momentu. Na początku wyglądało to tak, że między sobą rozmawialiśmy i zakładaliśmy: trochę popracujemy, trochę pomocy zorganizujemy dla najbardziej potrzebujących i to się skończy. Natomiast dosyć szybko zrozumieliśmy, że to jednak ma sens.

Przełomowym momentem była pierw-



Rafał Cierniak, prezes Fundacji na rzecz Pomocy Dzieciom Grodzieńszczyzny



sza akcja pomocowa. Po niej zgłosili się do nas darczyńcy, którzy powiedzieli wprost: chcemy pomagać, ale musicie mieć formę prawną. I wtedy właśnie powstała Fundacja.

Kolejnym bardzo ważnym doświadczeniem były pierwsze kolonie letnie – cztery turnusy, każdy po około 40–50 uczestników, razem z nauczycielami, którzy byli opiekunami grup. Rozmowy z nimi i uświadomienie sobie, jak ogromne są potrzeby tego środowiska, sprawiły, że chyba wtedy ostatecznie przekonałem się, że to, co robimy, ma głęboki sens.

Pamiętam spotkania w Związku Polaków w Grodnie, gdzie czekali na wsparcie, na podtrzymanie łączności z Macierzą. Jeśli więc miałbym odpowiedzieć, kiedy dokładnie to zrozumiałem, to powiedziałbym, że podczas pierwszych wakacji w 2001 roku.

Jak ćwierć wieku pracy społecznej wpłynęło na Pana osobiście?

– Opowiem krótką anegdotę. Kilkaście lat temu miałem spotkanie klasowe mojej klasy ze szkoły podstawowej. Spotkaliśmy się po około dwudziestu latach. Z wieloma osobami widziałem się wtedy po raz pierwszy od zakończenia szkoły. Nasza wychowawczyni, teraz już śp. pani Barbara Tchórzewska, poprosiła nas, żebyśmy krótko opowiedzieli, czym się obecnie zajmujemy.

Kiedy powiedziałem, czym się zajmuję ja, moi koledzy i koleżanki spojrzeli na mnie i stwierdzili: „Aha, no to wszystko się zgadza. Rafał – pomoc, pomaganie,

to zawsze była twoja droga”. Byłem tym bardzo zaskoczony, bo sam nie miałem takiej świadomości. Okazało się jednak, że jako nastolatek już byłem tak postrzegany.

Biorąc to pod uwagę, chęć pomagania innym rzeczywiście mogła mieć wpływ na moje wybory życiowe. Zawsze, jeśli ktoś potrzebował pomocy, starałem się o niego włączyć. Z czasem nauczyłem się też, jak pomagać mądrze. Wiem dziś, że czasem warto nagłaśniać nasze akcje i prosić o wsparcie darczyńców, a czasem lepiej działać spokojnie, bez rozgłosu. Są sytuacje, w których wystarczy po prostu zrobić swoje – czasem tylko porozmawiać, okazać obecność i wsparcie – i to również jest bardzo ważna forma pomocy.

Czy misja Fundacji zmieniła się na przestrzeni lat?

– W swoim głównym nurcie pozostała niezmienna. Od początku działaliśmy z myślą o Polakach z Białorusi, głównie – dzieciach. Z czasem jednak pojawiły się nowe grupy odbiorców. Kiedy o pomoc zwrócili się do nas kombatanci czy seniorzy, początkowo mieliśmy wątpliwości, bo przecież w nazwie Fundacji są «dzieci». Szybko jednak zrozumieliśmy, że „dzieci Grodzieńszczyzny” to pojęcie symboliczne – obejmujące osoby w każdym wieku.

W efekcie zaczęliśmy realizować projekty także dla kombatantów, seniorów, nauczycieli. Misja się więc nie zmieniła, ale naturalnie się rozszerzyła.



A kim były pierwsze dzieci objęte pomocą i czym ich potrzeby różniły się od dzisiejszych?

– Te pierwsze dzieci, które przyjeżdżały do nas na kolonie w pierwszych latach działalności, to były przede wszystkim dzieci uczące się w Polskiej Szkole w Grodnie albo będące podopiecznymi Związku Polaków na Białorusi. Przyjeżdżały często razem z nauczycielami, którzy byli opiekunami grup.

Na początku – zresztą także i później – nie zawsze kluczowy był status materialny. Oczywiście był on jednym z elementów branych pod uwagę, ale znacznie ważniejsze było zaangażowanie w naukę języka polskiego, w polskość, w działanie. Dziś sytuacja wygląda inaczej, ale jedno się nie zmieniło: cały czas zwracamy uwagę na autentyczne zaangażowanie i motywację.

Jakie wyzwania w Pana pracy są dziś najtrudniejsze?

– Najtrudniejsze są uwarunkowania zewnętrzne, czyli szeroko rozumiana geopolityka. Granice zamknięte albo otwarte, lecz z ogromnymi ograniczeniami, sprawiają, że realny kontakt jest dziś znacznie trudniejszy niż jeszcze kilka lat temu.

Do tego dochodzi sytuacja na samej Białorusi po 2020 roku, ale o tym wiele osób wie, nie trzeba więc rozwijać samego tematu. To, co funkcjonuje obecnie, ma zatem charakter szczątkowy w porównaniu z tym, co było wcześniej.

Jak zmieniły się realia funkcjonowa-

nia Fundacji po 2020 roku?

– To był bardzo trudny czas – najpierw pandemia, potem wydarzenia powyborcze na Białorusi. Nasze działania jednak się wówczas nie zatrzymały. Zmieniły formę i kierunek, ale cały czas były realizowane z myślą o tradycyjnych odbiorcach naszej pomocy – Polakach z Białorusi.

Skupiliśmy się przede wszystkim na osobach, które przyjechały do Polski i tutaj potrzebowały wsparcia, zwłaszcza tuż po przyjeździe. Działaliśmy w miarę naszych możliwości, często we współpracy z innymi organizacjami.

Jaką rolę w funkcjonowaniu Fundacji odgrywają wolontariusze jaką darczyńcy?

– Bez darczyńców Fundacja nie mogłaby istnieć. Są oni dziś absolutną podstawą naszej działalności. Bez wolontariuszy z kolei nie byłoby możliwe przeprowadzanie większych wydarzeń czy akcji. Co ważne, bardzo często wolontariuszami są nasi byli podopieczni.

Warto też podkreślić ogromne znaczenie wsparcia instytucji państwowych – Senatu RP, Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy Ministerstwa Edukacji Narodowej RP. Przez wiele lat to wsparcie pozwalało nam realizować projekty skierowane do Polaków z Białorusi – dodajmy, bardzo różnorodne projekty, czyli takie które obu stronom – uczestnikom i realizatorom – dawały mnóstwo radości, spełnienia, które nie były jednostronnym «dawaniem», lecz spotkaniem z poczuciem wspólnoty, odpowiedzialności i współdziałania.

Jakie są plany Fundacji oraz Pana osobiste na przyszłość?

– Najważniejsze dla nas dziś jest, żeby nasza działalność była nie tylko kontynuowana, ale żeby była efektywna i odpowiadała realnym potrzebom Polaków z Białorusi. W ostatnich latach musieliśmy dostosować nasze działania do nowych czasów i wyzwań – część wsparcia przeniosła się do Polski, gdzie pomagamy osobom, które przyjechały tu i potrzebują wsparcia w adaptacji, nauce języka, edukacji dzieci czy integracji społecznej.

Nie rezygnujemy jednak z kontaktu z tymi, którzy pozostali na Białorusi – choć w trudnych warunkach staramy się realizować projekty edukacyjne i kulturalne, wspierać lokalne inicjatywy oraz utrzymywać poczucie, że jesteście razem. Współpracujemy z wolontariuszami, byłymi podopiecznymi i instytucjami państwowymi, aby nasze wsparcie było realne i długofalowe.

Jeśli chodzi o przyszłość, chcemy przede wszystkim kontynuować naszą misję – pomagać, integrować i inspirować kolejne pokolenia Polaków z Białorusi. Planujemy rozwijać programy edukacyjne, organizować więcej wyjazdów i kolonii dla dzieci, wspierać seniorów i nauczycieli, a także pielęgnować miejsce, które stało się symbolem naszego działania – Dom Polonii w Żytkiejmach. Moim osobistym priorytetem pozostaje zdrowie i siła, żeby móc nadal aktywnie angażować się w te wszystkie działania. Pragnę, by Fundacja była miejscem spotkań, wsparcia oraz realnej pomocy, żeby każdy, kto z tej pomocy korzysta, czuł się zauważony, doceniony i bezpieczny.

Dziękujemy i na zakończenie naszej rozmowy chcemy złożyć najserdeczniejsze życzenia z okazji 25-lecia Fundacji. Życzymy, aby kolejne lata przyniosły Fundacji jeszcze więcej siły, życzliwości i ludzi, którzy — tak jak dotąd — będą tworzyć jej wyjątkową misję. Niech nie zabraknie Wam energii, wsparcia i wiary w sens tego, co robicie. Dziękujemy za 25 lat dobra! Niech ta historia trwa dalej...

Redakcja Głosu

Zmarł najstarszy katolicki hierarcha na Białorusi

W wieku 80 lat odszedł do wieczności biskup Kazimierz Wielkosielec. Kuria diecezji pińskiej z żalem poinformowała, że w niedzielę 8 lutego, w 81. roku życia ziemskiego, 42. roku kapłaństwa i 27. roku posługi biskupiej, odszedł do wieczności emerytowany biskup pomocniczy diecezji pińskiej. Był duchownym, który przez dziesięciolecia służył Kościołowi na Białorusi w trudnych czasach, odbudowując struktury kościelne i wspierając wiernych.

Biskup Kazimierz Wielkosielec urodził się 5 maja 1945 roku w Starowoli, w rejonie prużańskim na Ziemi Brzeskiej. Dorastał w czasach, gdy życie religijne było systemowo ograniczane. Najbliższy czynny kościół, do którego uczęszczał wraz z ojcem, znajdował się w Kobryniu, kilkadziesiąt kilometrów od rodzinnej wsi. Już w młodości jego wiara kształtowała się w atmosferze wyrzeczeń i



konsekwentnego świadectwa.

Po odbyciu obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej w ZSRR pracował na budowie w Wilnie. Pomimo panującego wówczas ateizmu jego wiara nie tylko nie osłabła, lecz systematycznie się umacniała. To właśnie w Wilnie

poznał ojców dominikanów, z którymi związał swoje dalsze życie i kapłańskie powołanie.

Droga do kapłaństwa była długa i naznaczona trudnościami. Przez trzy lata władze sowieckie odmawiały mu zgody na podjęcie nauki w seminarium

duchownym w Rydze. Nie zniechęciło go to jednak – w tym czasie podjął nielegalne studia teologiczne pod kierunkiem ks. dr. Wacława Piontkowskiego. Dopiero w 1981 roku został oficjalnie przyjęty do Seminarium Teologicznego w Rydze.

Święcenia kapłańskie przyjął w 1984 roku. Rozpoczął posługę duszpasterską w parafii Świętej Trójcy w Iszkoldzi w rejonie baranowickim. Był to czas dramatycznego niedoboru duchowieństwa na Białorusi, dlatego ks. Kazimierz opiekował się jednocześnie wieloma, często bardzo oddalonymi parafiami, łącząc intensywną pracę duszpasterską z odbudową i remontami świątyń.

W 1992 roku został mianowany wikariuszem generalnym diecezji pińskiej. Siedem lat później, w 1999 roku, przyjął sakrę biskupią. Jego posługa biskupia trwała niemal 25 lat i przypadła na kluczowy okres odradzania się struktur Kościoła katolickiego na Białorusi po upadku Związku Radzieckiego.

Po ukończeniu 75. roku życia w 2020 roku nie przeszedł na emeryturę – papież Franciszek przedłużył jego uprawnienia biskupie. W 2021 roku bp Kazimierz

Wielkosielec pełnił przez kilka miesięcy funkcję administratora apostolskiego archidiecezji mińsko-mohylewskiej, podejmując się tej odpowiedzialnej misji w czasie szczególnych napięć społecznych i kościelnych.

Rezygnację z urzędu biskupa pomocniczego diecezji pińskiej Stolica Apostolska przyjęła w 2024 roku. Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego mógł posługiwać się tytułem biskupa seniora (emeryta), pozostając jednocześnie autorytetem duchowym dla wiernych i duchowieństwa.

Biskup Kazimierz Wielkosielec zmarł 8 lutego 2026 roku w Homelskim Miejskim Centrum Kardiologicznym. Był najstarszym wiekiem katolickim hierarchą na Białorusi. Pozostawił po sobie świadectwo wiary, wytrwałości i cichej służby Kościołowi w trudnych czasach.

Jak przyznawał sam hierarcha, w jego służbie było wiele trudności, ale wszystkie one rozwiązywał na kolanach przed Najświętszym sakramentem, prosząc o wstawiennictwo Matki Bożej. Biskup Kazimierz codziennie odmawiał wszystkie cztery części różańca, a także drogę krzyżową.

W swoich kazaniach często powtarzał, jakiej śmierci pragnie dla siebie i innych: „Przeżyć życie tak, aby stanąć przed Bogiem z czystą duszą, czcić Boga i zrobić komuś coś dobrego”.

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

WB/catholic.by

Z Lidy nad Bałtyk. Historia ks. Matulewicza

Ks. Paweł Matulewicz urodzony w Lidzie 14 lutego 1908 roku, przez ponad pół wieku związany z Sopotem, pozostawił po sobie tysiące ochrzczonych dzieci, setki pobłogosławionych małżeństw i pamięć duszpasterza, który potrafił łączyć kresowe korzenie z powojenną rzeczywistością Wybrzeża.

W rocznicę urodzin ks. Pawła Matulewicza warto przypomnieć postać kapłana, którego życie stało się symbolicznym pomostem między dawnymi Kresami a powojenną Polską. Urodzony w Lidzie, w województwie nowogrodzkim, dorastał w świecie II Rzeczypospolitej – w rzeczywistości wielokulturowej, ale mocno zakorzenionej w tradycji i wierze.

Wileńskie początki

Po zdaniu matury w 1926 roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Wilnie. Studia teologiczne ukończył na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, uzyskując tytuł magistra teologii. Święcenia kapłańskie przyjął 12 czerwca 1932 roku z rąk metropolity wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego.

Pierwsze lata posługi spędził jako wikariusz i prefekt w parafiach w Zelwie i Dąbrowie koło Grodna, a następnie w Wilnie przy kościele św. Rafała. W marcu 1945 roku został mianowany proboszczem parafii Najświętszego Serca Jezusowego w Podbrzeziu pod Wilnem. Niebawem jednak przyszło mu opuścić rodzinne strony – historia przesunęła granice, a Kresy znalazły się poza Polską.

Repatriant i budowniczy wspólnoty

1 października 1945 roku ks. Matulewicz przybył do Diecezji Gdańskiej jako repatriant. Zamieszkał w Sopocie – mieście, które stało się jego domem na kolejne dekady. Już w 1947 roku został administratorem parafii św. Jerzego, a w 1986 roku – decyzją biskupa Tadeusza Gocłowskiego – jej proboszczem.

Równolegle pracował jako prefekt w sopockich szkołach. W trudnych realiach powojennych i w okresie PRL był nie tylko nauczycielem religii, lecz także wychowawcą i autorytetem moralnym dla młodzieży.



Kapłan pokoleń

W 1978 roku został kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej Gdańskiej. Na emeryturę przeszedł w 1991 roku, pozostając jednak rezydentem i duchowym ojcem parafii.

Liczyby mówią same za siebie: w parafii św. Jerzego ochrzcił 3676 dzieci i pobłogosławił 1359 par małżeńskich. Obchodził jubileusze 60-, 65- i 70-lecia kapłaństwa. Podczas uroczystości modlili się z nim m.in. abp Wojciech Ziemia oraz kard. Henryk Gulbinowicz.

Zmarł 29 maja 2004 roku w Gdyni, w wigilię Uroczystości Zesłania Ducha Świętego. Spoczął na cmentarzu komunalnym w Sopocie przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa – pośród wspólnoty, której służył przez niemal pół wieku.

Ślad, który pozostał

W 2017 roku w kościele św. Jerzego w Sopocie odsłonięto tablicę upamiętniającą ks. kanonika Pawła Matulewicza. To symbol pamięci o człowieku, który w burzliwym XX wieku potrafił zachować wierność powołaniu i ludziom.

Rocznica jego urodzin to nie tylko wspomnienie daty. To przypomnienie pokolenia duchownych, którzy po wojnie budowali Kościół i wspólnotę na nowo – z kresowym doświadczeniem, z wiarą w przyszłość i z cichą, codzienną służbą.

Opr. Waleria Brażuk

Błogosławieni Marianie

17 i 18 lutego przypada rocznica męczeństwa bł. ks. Jerzego Kaszry MIC i bł. ks. Antoniego Leszczewicza MIC — dwóch marianów z Rosicy, którzy w lutym 1943 roku poszli ze swoimi parafianami w ogień, pozostając przy nich aż do ostatniego tchnienia.

Ks. Jerzy Kaszryra urodził się w 1904 roku na Dziśnieńszczyźnie. Kształcił się w Drui – ważnym ośrodku odrodzenia Zgromadzenia Księży Marianów – następnie studiował filozofię w Rzymie i teologię w Wilnie. Święcenia kapłańskie przyjął w 1935 roku. Pracował jako wychowawca i przełożony domu zakonnego, a po 1939 roku doświadczył represji sowieckich i likwidacji placówek zakonnych.

Ks. Antoni Leszczewicz, starszy od współbrata o 14 lat, urodził się w 1890 roku na Wileńszczyźnie. Po święceniach w Petersburgu pracował na Dalekim Wschodzie – w Irkucku, Czycie i Mandzurii. Do Zgromadzenia Marianów wstąpił w 1937 roku. Był człowiekiem o bogatym doświadczeniu misyjnym i głębokiej duchowości.

Latem 1942 roku obaj zostali skierowani do Rosicy – miejscowości, w której po latach zamknięcia kościoła przez władze sowieckie zaczęło odradzać się życie religijne. Parafia obejmowała rozległe tereny nad Dźwiną. Kapłani organizowali katechizację, sprawowali sakramenty, tworzyli punkty duszpasterskie w okolicznych wsiach. Rosica stała się centrum misji dla katolików rozproszonych po północnej Białorusi.

Luty 1943 – decyzja, by pozostać

Na początku 1943 roku dotarły informacje o planowanych niemieckich akcjach odwetowych. Kapłani mieli możliwość opuszczenia miejscowości, jednak zdecydowali, że nie zostawią wiernych. Gdy 16 lutego rozpoczęła się pacyfikacja, mieszkańców okolicznych wsi spędzano do Rosicy. Przez kilka dni przetrzymywano ich w kościele bez jedzenia i wody.

Księża niemal bez przerwy spowiadali, udzielali chrztów i namaszczenia chorych, przygotowując ludzi na możliwą śmierć. Na prośbę ks. Antoniego wypuszczono siostry eucharystki – chciały, by przynajmniej one ocalały i mogły dać świadectwo tragedii.

17 lutego setki osób zamknięto w drewnianej stajni, obłano budynek benzyną i wrzucono do środka granaty. W płomieniach zginął ks. Antoni



Leszczewicz wraz z wiernymi. Następnego dnia podobny los spotkał grupę około 30 osób, wśród których był ks. Jerzy Kaszryra. Zamknięci w domu, zostali spaleni żywcem. Według świadectw ks. Jerzy świadomie wybrał pozostanie z parafianami.

Łącznie w Rosicy zamordowano około 380 mieszkańców.

Pamięć i znaczenie

13 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II beatyfikował obu marianów w gronie 108 męczenników II wojny światowej. Ich ofiara stała się symbolem duszpasterzy, którzy „nie opuszczają swoich owiec” nawet w obliczu śmierci.

Po upadku ZSRR parafia w Rosicy została odrodzona. Choć dziś jest niewielka, pozostaje miejscem pielgrzymek i modlitwy. Coroczne uroczystości rocznicowe gromadzą wiernych z różnych stron Białorusi.

Męczeństwo marianów z Rosicy to nie tylko dramat wojenny, lecz także świadectwo wierności, które wpisało się na trwałe w duchową historię Kresów.

Jak podkreśla jeden ze świadków odradzania się kultu rosickich męczenników, posługujący w latach 90. na Białorusi ks. Robert Krzywicki MIC: „Męczeństwo marianów ma ogromne znaczenie dla Białorusinów, narodu, który wiele wycierpiał. Dzięki nim zgromadzenie pozostało na Białorusi, a ich heroiczna postawa odmieniła życie setek ludzi.”

Opr. Emilia Kuklewska

86 lat od pierwszej deportacji na Syberię

W całej Polsce 10 lutego upamiętniono 86. rocznicę pierwszej masowej deportacji Polaków w głąb Związku Sowieckiego. Główne uroczystości odbyły się w Białymstoku, gdzie przy Grobie Nieznanego Sybiraka oraz w Muzeum Pamięci Sybiru zgromadzili się Sybiracy, ich rodziny, przedstawiciele władz i mieszkańcy miasta. Podobne uroczystości odbyły się również w Rzeszowie, Głogowie, Lublinie i Łomży.

W Białymstoku — mieście, które od lat pełni rolę centrum pamięci o zesłańcach — odbyły się dziś najważniejsze uroczystości związane z 86. rocznicą pierwszej deportacji Polaków na Syberię, przeprowadzonej przez NKWD 10 lutego 1940 roku. Obchody rozpoczęły się przy Grobie Nieznanego Sybiraka, gdzie delegacje złożyły kwiaty i zapaliły znicze. Następnie uczestnicy przeszli pod pomnik Matki-Sybiraczki, oddając hołd rodzinom, które doświadczyły sowieckiego terroru.

Centralnym punktem dnia było spotkanie w Muzeum Pamięci Sybiru, współorganizatorze uroczystości. Dyrektor placówki, prof. dr hab. Wojciech Śleszyński, podkreślił, że pamięć o deportacjach jest nie tylko obowiązkiem wobec historii, ale także ważnym elementem współczesnej wrażliwości społecznej.

– Sybiracy nie proszą o współczucie. Proszą o pamięć. A my mamy obowiązek tę pamięć pielęgnować, bo jest fundamentem naszej tożsamości. Każde świa-



Obchody przy Grobie Nieznanego Sybiraka w Białymstoku

dektwo, każda opowieść, każdy artefakt w naszym muzeum to nie tylko fragment historii, ale przestroga przed tym, do czego prowadzi systemowa pogarda dla człowieka – mówiła Śleszyńska, zwracając uwagę na konieczność przekazywania wiedzy o deportacjach młodemu pokoleniu.

W uroczystościach uczestniczyli Sybiracy i ich rodziny. Jedną z obecnych, której dziadkowie zostali wywiezieni w 1940 roku, podkreślała znaczenie wspólnego upamiętnienia:

– Dla nas to nie jest tylko rocznica. To dzień, w którym wracają wszystkie historie opowiadane w domu szeptem. Dobrze, że młodzi ludzie dziś tu są. To daje nadzieję, że pamięć nie zginie.

Choć to Białystok był centrum obchodów, rocznicę uczczono również w wielu

innych miastach. W Rzeszowie uroczystości odbyły się przy Pomniku Sybiraków, w Głogowie – na cmentarzu przy ul. Legnickiej, w Lublinie – podczas spotkania z udziałem Sybiraków i ich rodzin, a w Łomży – poprzez wspólne modlitwy i złożenie kwiatów przy tablicy pamięci zesłańców.

W całym kraju zapłonęły znicze w ramach akcji «Zapał Znicz Wywiezionym», organizowanej przez środowiska kresowe i patriotyczne.

Tegoroczne obchody ponownie przypomniły, że dramat deportacji pozostaje jednym z najboleśniejszych doświadczeń polskiej historii XX wieku. Jak podkreślano w Białymstoku, pamięć o Sybirze wciąż kształtuje wrażliwość kolejnych pokoleń i pozostaje ważnym elementem polskiej tożsamości.

AG/PAP

Białystok pamięta Sybir w biegu

W Białymstoku ponad 1,2 tys. uczestników wzięło udział w 8. Biegu Pamięci Sybiru, który w sobotni wieczór odbył się w Lesie Turczyńskim. Wydarzenie, organizowane przez Muzeum Pamięci Sybiru oraz Fundację Białystok Biega, było jednym z głównych punktów obchodów 86. rocznicy pierwszej masowej deportacji obywateli II RP w głąb Związku Sowieckiego.

Bieg nie miał charakteru typowo sportowego. Jego celem było upamiętnienie ofiar wywózek na Sybir oraz popularyzowanie historii, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Zawodnicy ruszyli na trasę po zmroku, w zimowych warunkach, z latarkami czołowymi. Leśną trasę wzbogacały inscenizacje świetlne i dźwiękowe, budujące nastrój refleksji i przybliżające realia nocy deportacyjnych z lutego 1940 roku.

– To forma hołdu dla tysięcy Polaków zesłanych na Syberię i do Kazachstanu. Cieszy nas, że pamięć o Sybirakach trwa i że jest komu przekazać ich historię – mówiła przed startem prezes białostockiego oddziału Związku Sybiraków Jolanta Hryniewicka.

Jak podkreślał dyrektor Muzeum

Pamięci Sybiru prof. Wojciech Śleszyński, bieg nawiązuje nie tylko do pierwszej deportacji z 9 na 10 lutego 1940 roku, ale do wszystkich czterech wywózek z lat 1940–1941. – Biegniemy w lesie i po zmroku, aby symbolicznie oddać atmosferę tamtych wydarzeń. W pierwszej deportacji byli m.in. leśnicy, dlatego miejsce ma szczególne znaczenie – zaznaczył.

Uczestnicy mogli wybrać dystans 5 lub 10 kilometrów, a także zadedykować swój bieg konkretnemu Sybirakowi. Na mecie każdy otrzymał pamiątkowy medal. W tym roku przedstawiał on lokówkę należącą do Amelii Sieczko, deportowanej w lutym 1940 roku – symbol utraconej codzienności i marzenia o normalnym życiu.

Równolegle wystartowała edycja wirtualna biegu, do której można dołączyć z dowolnego miejsca na świecie. Pierwsze zgłoszenia napłynęły już m.in. z Niemiec, Austrii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Bieg Pamięci Sybiru odbywa się również w innych miastach – m.in. we Wrocławiu, gdzie tegoroczna edycja zaplanowana jest na 21 lutego. W czterech akcjach deportacyjnych w latach 1940–1941 władze sowieckie wywoziły około 330 tysięcy obywateli II Rzeczypospolitej. Dla wielu z nich była to droga bez powrotu.

a.pis/PAP



Prof. Wojciech Śleszyński, dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru



Jolanta Hryniewicka, prezes białostockiego oddziału Związku Sybiraków

Nagroda dla Alesia Smalańczuka

11 lutego Pałacu na Wyspie w Łazienkach Królewskich w Warszawie odbyła się gala wręczenia Nagród Forum Współpracy i Dialogu Polska–Litwa. Od 2013 roku wyróżnienia przyznawane są osobom szczególnie zasłużonym dla budowania mostów porozumienia między narodami Europy Środkowo-Wschodniej. W tym roku – obok historyków i ludzi kultury z Litwy, Polski i Ukrainy – uhonorowany został prof. Aleś Smalańczuk, wybitny białoruski historyk.



skich historyków, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swojego kraju, gdzie dziś nie istnieje wolność badań naukowych, a ich przedstawicielom grożą represje.

Kapituła nagrody podkreśliła, że działalność Smalańczuka wykracza poza klasyczne badania historyczne. Jego prace pomagają zrozumieć złożoność wspólnej historii, przełamują stereotypy i przywracają pamięć o wielokulturowym dziedzictwie dawnej Rzeczypospolitej. W czasach napięć politycznych i wojny za wschodnią granicą jego głos ma szczególne znaczenie – przypomina, że dialog zaczyna się od rzetelnej wiedzy i wzajemnego szacunku.

Wspólnota doświadczeń

Nagrody – w wysokości 1,5 tys. euro oraz pamiątkowe statuetki – odebrali także: Vydas Dolinskas, dyrektor Zamku Wielkich Księżąt Litewskich w Wilnie,

Szymon Drej, dyrektor Muzeum Bitwy pod Grunwaldem oraz ukraiński poeta Andrij Lubka, który nie mógł przyjechać na galę, gdyż zgłosił się na ochotnika do ukraińskiej armii. Jego list, odczytany podczas uroczystości, został przyjęty owacją na stojąco.

Włączenie od 2026 roku do grona laureatów także przedstawicieli białoruskiego środowiska demokratycznego jest wyraźnym sygnałem solidarności oraz uznania dla tych, którzy – mimo trudnych warunków – działają na rzecz wolności i dialogu.

Uhonorowanie Alesia Smalańczuka pokazuje, że historia może być przestrzenią spotkania, a nie konfliktu. To dowód, że pamięć o wspólnym dziedzictwie Polski, Litwy i Białorusi może stać się fundamentem przyszłej współpracy – opartej na zrozumieniu, odpowiedzialności i otwartości.

a.pis



Mistrz pejzażu i nestor polskiej sztuki

W rocznicę odejścia Bronisława Jamontta (1886–1957) przywołujemy postać malarza, pedagoga i profesora Uniwersytetów Wileńskiego i Toruńskiego. To dobra okazja, by przypomnieć dorobek naszego krajana – artysty, który w swoich pracach utrwalił piękno Wilna, Wileńszczyzny i Torunia oraz wywarł znaczący wpływ na kolejne pokolenia twórców.

Z Dokudowa w świat sztuki

Bronisław Jamontt urodził się 5 sierpnia 1886 roku w Dokudowie pod Lidą, w rodzinie Kazimierza i Marii ze Świackiewiczów. Z tym miejscem wiąże się także romantyczna historia miłości Konstantego Kalinowskiego i Marysi Jamontt, córki zarządcy pałacu w Dokudowie, Tadeusza Jamontta. To właśnie do narzeczonej Marii Jamontt Kalinowski pisał w «Listach spod szubienicy»: „Maryśka czarnobrewa, gołąbeczka moja”. Marysia miała brata Kazimierza, u którego w tym domu urodził się Bronisław – przyszły malarz i pedagog.

Dokudowo było dla młodego Bronisława pierwszą szkołą obserwacji natury i ludzi. Latem odbywały się tam plenery artystyczne, a nie tak dawno to miejsce przyciągało artystów z całej Europy, którzy uczestniczyli w plenerach imienia Jamontta nad brzegiem Niemna.

Wileńska edukacja i podróże

Jamontt uczęszczał do I Gimnazjum Klasycznego w Wilnie, równocześnie rozwijając talent w Wileńskiej Szkole Rysunkowej u Iwana Trutniewa i Iwana Rybakowa. W latach 1908–1910 studiował prawo w Petersburgu, przy czym dorywczo kontynuował edukację artystyczną. W tym czasie odbył podróż do Krakowa i Zakopanego, gdzie zetknął się z malarstwem Józefa Stanisławskiego i malował w plenerze wspólnie z malarzami jego «szkoły».

Po powrocie Jamontt uczył rysunku



Bronisław Jamontt (1886-1957)

w okolicznych majątkach ziemiankich, później w Szkole Realnej Polskiej Macierzy Szkolnej w Homlu, a następnie w Wilnie – m.in. na kursach maturalnych przy Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta. Równolegle intensywnie malował.

Jego pierwsza wystawa odbyła się już w 1915 roku w Wilnie. W kolejnych latach Jamontt prezentował swoje prace w najważniejszych ośrodkach artystycznych Europy: w Warszawie (Zachęta), Paryżu, Brukseli, Hadze, Amsterdamie, Bukareszcie, Kopenhadze, Berlinie, Monachium, Rydze, a nawet w Moskwie. Był artystą znanym i cenionym jeszcze przed II wojną światową.

Od 1928 do 1934 roku studiował na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a w 1932 roku został asystentem Ferdynanda Ruszczyca. Po śmierci mistrza przejął obowiązki kierownika katedry pejzażu, a w 1937 roku uzyskał stanowisko profesora nadzwyczajnego.

Wykształcił wielu uczniów, w tym Aleksandra Trojkowicza, a równocześnie podróżował po Europie, uczestniczył w licznych wystawach i zdobywał nagrody.

Brał także udział w prezentacji sztuki polskiej na międzynarodowych wystawach malarstwa urządzanych przez Carnegie Institute w USA

Pejzaż jako wybór świadomy

Twórczość Jamontta można opisać jako podróż przez różne sposoby widzenia świata. Początkowo tworzył drobne szkice i obrazy – swobodne, technicznie perfekcyjne, pozwalające zgłębiać formę i kolor. Stopniowo coraz częściej malował pejzaże miejskie i krajobrazy, wiernie obserwując naturę, ale stosując lekką stylizację dla poprawy kompozycji.

Najbardziej wymagające były monumentalne kompozycje, nad którymi pracował miesiącami. To właśnie one w pełni ujawniają jego wirtuozerię, warsztat, ekspresję i zdolność oddania charakteru miejsc, które uwieczniał. Obrazy te, wymagające precyzji i cierpliwości, pozostają świadectwem jego mistrzostwa i artystycznej konsekwencji.

Jamontt niemal całe życie pozostał wierny pejzażowi. Malował Wilno, Wileńszczyznę, Polesie, a po wojnie także Toruń. Posługiwał się różnymi technika-



«Pejzaż z drzewami», 1933 r.



«Zima na Wileńszczyźnie»

mi – olejem, akwarelą, gwaszem – jednak szczególnie miejsce w jego twórczości zajmowała tempera.

Jak pisał Jerzy Hoppen w 1939 roku, Jamontt był artystą, w którego twórczości spotykają się dwa podstawowe elementy sztuki: mistrzostwo i uczucie. Wypracował własną, rozpoznawalną technikę temperową: od malarstwa kryjącego, przez laserunki, aż po odważne zdrapywanie warstw farby nożem czy szpachlą. Nie była to gra formalna, lecz świadome poszukiwanie języka, który pozwalał wyrazić «istotę rzeczy».

Krytycy podkreślali harmonię jego prac – zgodność rysunku, koloru, światłocienia i kompozycji. Jamontt nie ulegał modom ani pokusie naśladowania Van Gogha, Gauguina czy paryskiej awangardy. Tworzył własny nurt, określany wręcz jako «pejzaż w stylu Jamontta», który znalazł naśladowców.

Wojna, Toruń i nowe środowisko

W czasie II wojny światowej Jamontt zaangażował się w tajne nauczanie na poziomie uniwersyteckim. Po 1945 roku znalazł się w Toruniu, gdzie odegrał klu-



«Podwórko w Wilnie», 1944 r.



«Wiatrak», 1940 r.

czową rolę w tworzeniu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Organizował Sekcję Sztuk Pięknych, przekształconą w 1946 roku w Wydział Sztuk Pięknych, którego był dziekanem i kierownikiem katedr.

W Toruniu kontynuował twórczość pejzażową i działalność pedagogiczną, kształcąc kolejne pokolenia artystów. W 1953 roku uzyskał stopień doktora nauk o sztuce, a wcześniej – w 1930 roku – został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Jamontt pozostawił po sobie tysiące obrazów i 158 albumów dokumentujących miasta i krajobrazy II Rzeczypospolitej.

Bronisław Jamontt zmarł 4 lutego 1957 roku w Toruniu. Spoczywa na cmentarzu św. Jerzego. Choć los rzucił go z Lidzyny do Wilna, a potem do Torunia, w historii sztuki pozostał przede wszystkim wilnianinem – artystą pogranicza, który potrafił z pejzażu uczynić nie tylko temat, lecz formę refleksji nad światem.

Jak trafnie pisał Jerzy Hoppen: „Jamontt jest jeden i nie ma drugiego podobnego. Jamontt jest wilnianinem i dumą Wilna.”

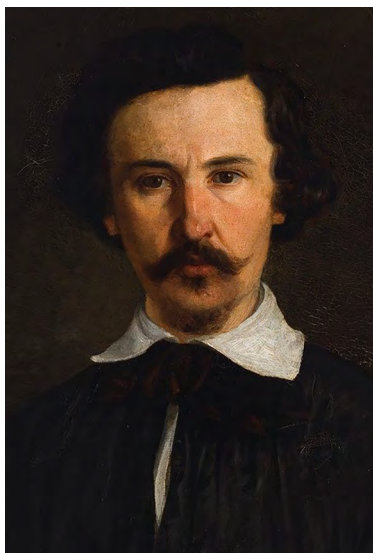
Opr. Waleria Brażuk

Malarz i kronikarz ziem dzisiejszej Białorusi

W rocznicę śmierci Edwarda Bonifacego Pawłowicza przypominamy sylwetkę twórcy szczególnie zasłużonego dla Kresów i ziem dzisiejszej Białorusi. Choć rok 2025 upamiętniał 200. rocznicę jego urodzin, to właśnie data jego odejścia stała się dla nas okazją do ponownego spojrzenia na jego dorobek. Pawłowicz – malarz, pamiętnikarz, działacz społeczny i uczestnik powstania styczniowego – pozostawił nie tylko obrazy, ale także cenne świadectwo życia Nowogródzczyzny i XIX-wiecznych ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Edward Bonifacy Pawłowicz herbu Jasięczyk urodził się 7 czerwca 1825 roku w Turgielach, w rodzinie szlacheckiej. Ojciec Franciszek był komornikiem, matka – Kunegunda z domu Pagażelska. Dzieciństwo i młodość spędził na Nowogródzczyźnie, z którą związał się emocjonalnie i twórczo na całe życie.

Edukację rozpoczął w szkołach przy bazylińskich klasztorach w Żyrowicach i Słonimiu, a następnie w Słuckiej Gimnazji, którą ukończył w 1836 roku. Później studiował w Wilnie – jako wolny słuchacz Akademii Medyczno-Chirur-



Edward Bonifacy Pawłowicz

gicznej i Duchownej – oraz pobierał prywatne lekcje malarstwa u Kanutego Rusieckiego i Karola Rypińskiego.

W 1849 roku wyjechał do Petersburga, gdzie rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych, ukończone w 1853 roku. Następnie przez kilka lat podróżował po Europie Zachodniej – Włoszech, Francji i Hiszpanii, kopiując dzieła mistrzów w muzeach i galeriach oraz nawiązując kontakty z polskimi artystami-emigrantami, m.in. Teofilem Lenartowiczem.

Rok 1859 był przełomowy – Pawło-



«Kościół w Iszkoldzi»



«Kościół Bazylianów w Nowogródku»

wicz wrócił do Nowogródka, gdzie objął stanowisko nauczyciela rysunku w gimnazjum. Ten okres szczegółowo opisał w swoich pamiętnikach, dziś uznawanych za unikalne świadectwo życia kulturalnego i społecznego ziemi nowogródzkiej w połowie XIX wieku.

Bywał w licznych dworach szlacheckich, malując portrety gospodarzy, pejzaże, szkice kościołów i pałaców, wykonywał także prace dla świątyń. W pamiętniku «Wspomnienia: Nowogródek, więzienie, wygnanie, Lwów 1887» tak

opisywał początki swej pracy: „Pierwszą moją pracą artystyczną (...) był obraz Św. Stanisława Kostki, patrona uczącej się młodzieży, ofiarowany przeze mnie dla ołtarza gimnazistów...”.

Ten fragment ukazuje Pawłowicza nie tylko jako artystę, ale także człowieka głęboko zaangażowanego w życie lokalnej wspólnoty. Organizował teatr amatorski, założył szkółkę niedzielną dla biednych, bibliotekę i czytelnię, działał na rzecz trzeźwości wśród chłopów, publikował artykuły społeczne w prasie polskiej i emigracyjnej.

Powstanie, zesłanie

Choć początkowo nie popierał idei zbrojnego wystąpienia, wydarzenia Powstania Styczniowego wciągnęły go w wir historii. 7 marca 1863 roku, podczas lekcji w nowogródzkim gimnazjum, został aresztowany. Uczniowie zapamiętali jego słowa z tej ostatniej lekcji: „Porządek, ład, harmonia, były zawsze i pozostaną na zawsze podstawą wszelkiego dobra i piękna...”

Za działalność uznaną przez władze carskie za niebezpieczną został zesłany do guberni ołonieckiej. Zesłanie było doświadczeniem skrajnym – żył w biedzie, samotności, utrzymując się z symbolicznego zapomogowego. To właśnie wtedy dojrzał jako pisarz-pamiętnikarz, uważny obserwator ludzkich losów

i mechanizmów władzy.

Lwów, ostatnie lata

Po powrocie z zesłania Pawłowicz przebywał w Nowogródku, Warszawie (gdzie wraz z Juliuszem Kossakiem prowadził szkołę malarską dla kobiet), aż w końcu w 1870 roku osiadł we Lwowie. Tam pracował w Muzeum im. Lubomirskich jako kustosz i konserwator zbiorów.

Równolegle tworzył i publikował. Jest autorem licznych wspomnień i pamiętników, m.in. «Wspomnienia znad Wilii i Niemna», «Nowogródek w XIX stuleciu», «Z życia Litwina». Zebrał bezcenne informacje o życiu kulturalnym i literackim ziem białoruskich i litewskich oraz o postaciach takich jak Franciszek Sawicz.

Zmarł 10 lutego 1909 roku w samotności. Jego grób na Cmentarzu Łyczakowskim pozostaje dziś symbolem losu wielu kresowych intelektualistów – wiernych idei, często zapomnianych.

Współczesna historiografia białoruska określa go jako mistrza pióra i pędzla, oświeciciela i męża pamięci, podkreślając jego wkład w dokumentowanie życia Białorusi XIX wieku. Ta wieloperspektywiczność czyni Edwarda Pawłowicza postacią wspólną dla dziedzictwa polskiego, białoruskiego i kresowego.

Opr. Emilia Kuklewska

Kronikarz Kresów w akwareli

W historii sztuki są artyści, których dorobek nie krzyczy, lecz mówi cicho — a jednak mówi rzeczy ważne. Do takich twórców należy Józef Peszka, malarz urodzony w Krakowie, ale duchowo związany z ziemią dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. To właśnie tutaj, na Kresach, spędził blisko dwadzieścia lat, tworząc obrazy, które dziś są jednymi z najstarszych wizualnych świadectw tamtego świata.

Choć jego nazwisko nie pojawia się w podręcznikach tak często jak Bacciarellego czy Smuglewicza, Peszka pozostawił po sobie coś, czego nie da się przecenić — ikonografię Kresów, uchwyconą z wrażliwością wędrowca i dokumentalną precyzją klasycysty.

Od Krakowa do Wilna

Józef Peszka przyszedł na świat 19 lutego 1767 roku w Krakowie. Wychowany w atmosferze klasycyzmu, kształcił się u Dominika Estreichera, a następnie w Warszawie u Franciszka Smuglewicza — jednego z najważniejszych malarzy epoki. To właśnie Smuglewicz nauczył go dyscypliny rysunku, zamiłowania do antyku i szacunku dla detalu.

Warszawski okres Peszki to czas portretów działaczy Sejmu Czteroletniego, kopii z królewskiej galerii i pierwszych poważnych zamówień. Jednak młody malarz szybko zrozumiał, że w stolicy nie przebijie się przez konkurencję zagranicznych mistrzów. Wybrał więc drogę, którą podążali dawni czeladnicy — wędrowkę.

Kresowe miasta Peszki

W 1793 roku Peszka przybywa do Grodna. Od tego momentu zaczyna się jego wielka podróż przez ziemie dzisiejszej Białorusi i Litwy. Wędruje z miasta do miasta, zatrzymuje się na dworach, w klasztorach, u urzędników i duchownych. Maluje to, co widzi — i to, co zniknęło już wtedy na jego oczach.

To właśnie jemu zawdzięczamy jedno z najwcześniejszych przedstawień: pano-



Józef Peszka



«Scena alegoryczna z Napoleonem»



«Portret Hugona Kolltāja»



Nieśwież. Widok ogólny



Witebsk, ulica Wielka i most nad Wićbą



Grodno. Nowy Zamek



Lida

ramy Grodna, widoki Witebska i Mohylewa, pejzaże Szklowa, akwarele zamków w Nowogródku, Lidzie i Lubczy.

Jego prace są niezwykle dokładne, a jednocześnie pełne miękkiego światła i subtelnej melancholii. Peszka nie idealizował Kresów — on je zapamiętywał.

Wilno – centrum życia

Najważniejszym przystankiem na jego drodze stało się Wilno. Miasto, które wówczas przeżywało swój intelektualny rozkwit, przyciągnęło Peszkę jak magnes. Tu malował portrety profesorów, duchownych, szlachty i mieszczan.

Tu powstały jego prace o charakterze alegorycznym i historycznym. Tu wreszcie starał się o stanowisko profesora malarstwa na Uniwersytecie Wileńskim.

Choć ostatecznie katedrę otrzymał Jan Rustem, Peszka pozostał w Wilnie ważną postacią artystycznego środowiska. Jego

portrety z tego okresu — zwłaszcza te o romantycznym zabarwieniu — należą do najciekawszych w jego dorobku.

Nieśwież i Radziwiłłowie

W 1807 roku Peszka pracuje w Nieświeżu, gdzie tworzy portrety dla księcia Macieja Radziwiłła. To czas stabilizacji i twórczej dojrzałości. Artysta maluje zarówno portrety, jak i kompozycje historyczne, a jego styl staje się bardziej swobodny, pełniejszy, cieplejszy.

Właśnie w tym okresie powstają dzieła, które łączą klasycyzm z rodzajem się romantyzmem — charakterystyczna cecha późnej twórczości Peszki.

Napoleon i kresowe nadzieje

Rok 1812 przynosi wydarzenie, które Peszka uwiecznia z reporterską dokładnością — wkroczenie armii Napoleona do Wilna. W tym czasie powstają jego alegoryczne obrazy z Napoleonem, pełne symboliki i politycznych odniesień. Był to moment, gdy wielu mieszkańców Kresów wierzyło w odrodzenie Rzeczypospolitej.

Klęska Napoleona przekreśliła te nadzieje. Dla Peszki oznaczała także konieczność opuszczenia Kresów.

Powrót do Krakowa i ostatnie lata

W 1813 roku wraca do rodzinnego miasta. Obejmuje stanowisko profesora, a później dyrektora Akademii Sztuk Pięknych. Tworzy portrety krakowskiej elity, ilustracje historyczne i cykle rysunków poświęcone dziejom Polski.

Choć jego życie zamyka się w Krakowie, to właśnie Kresy pozostają najważniejszym rozdziałem jego twórczości.

Józef Peszka był jednym z pierwszych artystów, którzy potraktowali Kresy nie jako egzotyczny margines, lecz jako pełnoprawny temat sztuki. Jego akwarele i rysunki to nie tylko dzieła artystyczne — to dokumenty epoki, świadectwa miejsc, które w wielu przypadkach już nie istnieją.

Dzięki niemu możemy zobaczyć Grodno sprzed dwóch stuleci, Witebsk w czasach gubernialnych, zamki, które dziś są ruinami lub wspomnieniem. Peszka ocalił je dla nas — cichą, precyzyjną kreską wędrownego malarza.

Opr. Waleria Brażuk

Pejzażysta romantycznych Kresów

22 lutego 1862 roku zmarł Wincenty Dmochowski – artysta, patriota i jeden z najważniejszych pejzażystów XIX-wiecznej Litwy i Białorusi. Jego twórczość, zakorzeniona w krajobrazie rodzinnej Nowogródzczyzny i w duchu romantycznej wrażliwości epoki, do dziś pozostaje świadectwem świata, który odszedł, ale którego piękno artysta utrwalił na swoich płótnach.

Wincenty Dmochowski urodził się w 1807 roku w majątku Gawja w powiecie oszmiańskim, w rodzinie szlacheckiej herbu Pobóg. W literaturze pojawiają się dwie wersje miejsca jego urodzenia. Część opracowań podaje majątek Dmochowskich – Nahorodowicze, jednak nowsze i bliższe źródłom epoki publikacje wskazują jednoznacznie na majątek Gawja w powiecie oszmiańskim. Rozbieżność wynika z faktu, że Nahorodowicze stały się własnością rodziny Dmochowskich dopiero po 1820 roku, a więc już po narodzinach Wincentego, co czyni Gawję miejscem bardziej wiarygodnym.

Początkową edukację Wincenty pobierał w pijarskiej szkole w Szczu-



Wincenty Dmochowski

czynie, a według niektórych źródeł także w Nowogródku. W 1826 roku rozpoczął studia filologiczne na Uniwersytecie Wileńskim, jednocześnie pobierając lekcje rysunku u Jana Rustema. W środowisku akademickim zetknął się z żywą debatą o sztuce, literaturze i polityce, a także poznał Adama Mickiewicza, który później gościł u Dmochowskich w Nahorodowiczach.

W 1829 roku przerwał studia, a rok później wziął udział w powstaniu listopa-



«Zamek w Holszanach»

dowym. Po jego klęsce, zagrożony represjami, wyemigrował do Prus Wschodnich, gdzie utrzymywał się z pracy artystycznej. Dopiero amnestia z 1837 roku pozwoliła mu wrócić do Wilna.

Po powrocie do kraju Dmochowski w pełni poświęcił się malarstwu. Tworzył liczne pejzaże i sceny rodzajowe, które zdobyły popularność wśród lokalnej szlachty. Malował Nowogródzczyznę, Wilno, miejsca związane z Mickiewiczem, a także sceny z życia codziennego. Do jego najważniejszych dzieł należy obraz «Ojczyzna» («Dwór w Nahorodo-

wiczach», 1843), później doceniony na wystawie retrospektywnej we Lwowie w 1894 roku.

W 1853 roku, na zamówienie Eustachego Tyszkiewicza, stworzył serię widoków ruin litewskich zamków – m.in.: w Lidzie, Holszanach, Trokach i Miednikach. Część tych prac trafiła do encyklopedii krajoznawczej Imperium Rosyjskiego pt. «Żywopisnaja Rosja», inne do zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie. Adam Kirkor, publikując «Litewskie starożytności», podkreślał znaczenie talentu Dmochowskiego dla

dokumentacji dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W pierwszej połowie lat 50. Dmochowski współpracował z teatrem miejskim w Wilnie, projektując dekoracje do oper Moniuszki, Rossiniego i Donizettiego. Wileńskie środowisko artystyczne nazywało go «Klaudem Lorrainem wileńskich okolic», doceniając jego romantyczne ujęcie pejzażu.

Około 1840 roku artysta otworzył w Wilnie własną pracownię, która przez dwie dekady pełniła funkcję nieformalnej szkoły malarskiej.

Wincenty Dmochowski zmarł 22 lutego 1862 roku w Wilnie. Jego nekrolog, napisany przez Władysława Syrokomlę, ukazał się w «Kurierze Wileńskim».

Pozostawił syna Władysława – również malarza i ilustratora – oraz trzy córki. Władysław Dmochowski, po nauce w Paryżu i udziale w powstaniu styczniowym, odziedziczył rodzinne Nahorodowicze, gdzie osiadł na stałe.

Twórczość Wincentego Dmochowskiego, obejmująca ponad sto pejzaży i scen rodzajowych, pozostaje jednym z najważniejszych świadectw kultury ziem litewsko-białoruskich XIX wieku.

Dzięki jego talentowi zachował się obraz świata szlacheckich dworów, miasteczek i krajobrazów, które ukształtowały wyobraźnię epoki romantyzmu.

Opr. Adolf Gorzkowski

Artysta z Kresów, który podbił świat

Czesław Niemen, jeden z najważniejszych polskich artystów XX wieku, urodził się 16 lutego 1939 roku w Starych Wasiliszkach na dzisiejszej Białorusi. Jego niezwykła biografia, głęboko zakorzeniona w kulturze pogranicza, do dziś fascynuje zarówno fanów, jak i badaczy jego twórczości. Z okazji 87. rocznicy urodzin przypominamy najciekawsze, często zaskakujące epizody z życia muzyka, który nigdy nie zapomniał o swojej małej ojczyźnie.

Czesław Niemen – wówczas jeszcze Wydrzycki – spędził pierwsze 19 lat życia na Grodzieńszczyźnie. Pochodził z rodziny polskiej o tradycjach patriotycznych i muzycznych. Jego ojciec – Antoni Wydrzycki – był organistą w miejscowym kościele. To właśnie od niego Czesław przejął pierwsze muzyczne inspiracje i zainteresowanie śpiewem. Matka – Anna z domu Markiewicz – zajmowała się domem i wychowaniem dzieci.

Czesiek Wydrzycki uczył się w grodzieńskim kolegium muzyczno-pedagogicznym, skąd jednak szybko go relegowano – oficjalnie za «nieprzydatność zawodową», choć w rzeczywistości powodem była jego niepokorna natura. W 1958 roku, podczas ostatniej fali repatriacji, wyjechał do Polski. Wtedy też przyjął pseudonim «Niemen», oddając hołd rzece, nad którą dorastał.

Pierwsza miłość i piosenka, która podbiła świat

Jedną z pierwszych i najważniejszych piosenek w jego karierze była «Czy mnie jeszcze pamiętasz?». Według sąsiadów ze Starych Wasiliszek utwór był hołdem dla pierwszej miłości artysty – Marii Klauzunik. Czesław znał ją od dzieciństwa, a ich losy spletały się jeszcze po repatriacji. W Polsce pobrali się, zamieszkali razem w Gdańsku, a na świat przyszła ich córka Maria. Piosenka, napisana z młodzień-



Czesław Niemen na koncercie w Mińsku w 1976 r.



Czesław Niemen siedzi na dużym głazie, na którym przesiadywał w młodości podczas przyjazdu taksówką z Moskwy

czą czułością, poruszyła także Marlenę Dietrich, która – jak wspomniano – po wysłuchaniu jej w Warszawie poprosiła: „Zagrajcie to jeszcze raz. Chcę to mieć w swoim repertuarze.” I rzeczywiście – włączyła ją do swoich koncertów i nagrań.

Powroty do rodzinnej wsi

Choć zrobił karierę w Polsce, nigdy nie odciął się od swoich korzeni. Jako gwiazda estrady PRL wracał do rodzinnej wsi, a podczas jednego z koncertów w Wilnie zaprosił na widowinę... całą społeczność Starych Wasiliszek. Sąsiedzi artyści przyjechali autokarem i zajęli miejsca w pierwszych rzędach. Wspominali później: „Ludzie na jego koncertach stali.

Wysłiśmy, a Czesław mówi: „Szybko wsiadajcie do auta, biegnijcie, bo mnie nie przepuszczą! Młodzież za nim psociła. Ale on nigdy nie wstydił się mówić, że pochodzi ze Starych Wasiliszek” – wspominają tamten koncert sąsiedzi artyści ze Starych Wasiliszek.

W 1979 roku, podczas trasy koncertowej po ZSRR, Niemen wynajął taksówkę w Moskwie i przejechał ponad tysiąc kilometrów tylko po to, by spędzić kilka godzin w rodzinnej wiosce. Z tej wizyty pochodzi słynne zdjęcie artysty siedzącego na ulubionym głazie z dzieciństwa.

Spotkanie z «Pieśniarami»

Niemen imponował również białoruskim muzykom – legendarny zespół «Pieśniary» wspominał, że spotkanie z nim podczas festiwalu w Sopocie w 1971 roku było dla nich ogromnym przeżyciem. Artyści opowiadali, że Niemen mówił z czułością o swoim dzieciństwie na Białorusi i o tym, jak muzyka od zawsze była jego naturalnym językiem. Co ważne, już wtedy znał twórczość «Pieśniarów», choć ich sukcesy dopiero się zaczynały.

Po tym spotkaniu lider zespołu, Władimir Muliawin, przygotował aranżację utworu «Brodiağa» («Włóczęga») inspirowaną stylem Niemena. A podczas jednego z późniejszych festiwali białoruscy muzycy wykonali dla Niemena muzyczny pre-



Marlena Dietrich i Niebiesko Czarni, Czesław Niemen stoi po prawej, w Sali Kongresowej, 20 stycznia 1964 r.



Czesław Niemen i białoruski zespół «Pieśniary» podczas spotkania w Sopocie w 1974 r.

zent – piosenkę «Sprzedaj mnie wiatrowi» z jego «czerwonego» albumu.

Mistyczne koncerty na Białorusi

Koncerty Niemena na Białorusi miały niemal mistyczny charakter. W Mińsku publiczność porównywała jego występ do medytacji. A z koncertu w Pińsku w 1976 roku widzowie wychodzili oszołomieni.

Kompozytor Oleg Wenger wspominał: „Ludzie wychodzili z kwadratowymi oczami! Wszyscy czekali na jego wczesne piosenki, a on śpiewał niewiele i pokazał swoje niestandardowe myślenie.”

Niemen łączył improwizację, elektronikę i tradycyjne brzmienia, tworząc muzykę, która wyprzedzała czas.

Muzeum w Starych Wasiliszkach

Do dziś w Starych Wasiliszkach działa jedyne na świecie muzeum poświęcone artyście – Staro Wasiliszkowskie muzeum-klub. Dzięki pracy pasjonatów udało się w nim odtworzyć atmosferę dawnej wsi i przechowywać pamięć o jednym z najwybitniejszych twórców polskiej muzyki XX wieku.

Kresowa wrażliwość

Niemen wielokrotnie podkreślał, że jego wrażliwość muzyczna ukształtowała się na Kresach – w miejscu, gdzie przenikały się tradycje katolickie i prawosławne, a ludzie mówili «tutejszym» językiem. To właśnie tam, jak mówił, usłyszał melodie, które na zawsze zapisały się w jego sercu.

Choć po przyjeździe do Polski niektórzy zwracali uwagę na jego kresową wymowę, on sam traktował swoje pochodzenie jako ważną część własnej tożsamości.

Czesław Niemen zmarł 17 stycznia 2004 roku, ale jego twórczość i pamięć o nim wciąż żyją – zarówno w Polsce, jak i na Białorusi, gdzie Stare Wasiliszkizki pozostają miejscem pielgrzymek fanów i symbolem kresowej tożsamości artysty, który z małej wsi trafił na największe sceny świata.

Opr. Walery Kowalewski

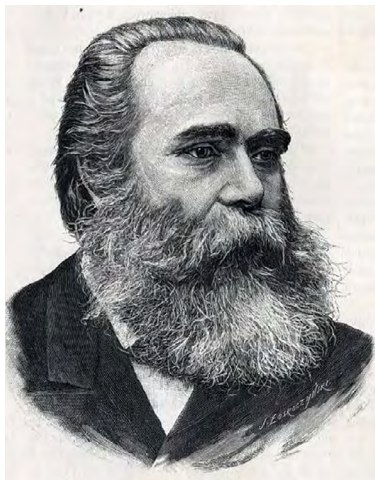
Uczeń Syrokomli, który sam stał się legendą

Syn uwolnionego chłopca i szlachcianki zagrodowej, samouk, który dzięki talentowi i pracy wszedł do świata literatury Wilna i Warszawy. Wierny uczeń Władysława Syrokomli, współtwórca jego legendy, płodny poeta i niezmordowany publicysta, który dosłownie umarł nad redakcyjnym biurkiem. 135 lat po jego śmierci jego życiorys wciąż brzmi jak opowieść o awansie społecznym, lojalności i odpowiedzialności za własną ziemię.

Wincenty Korotyński przyszedł na świat w sierpniu 1831 roku we wsi Sieliszcz pod Nowogródkiem, w rodzinie o niezwykłym jak na XIX wiek statusie społecznym: ojciec był uwolnionym chłopem pańszczyźnianym, matka pochodziła ze szlachty zagrodowej.

Data jego urodzenia jest umowna – gdy w 1858 roku potrzebował metryki chrztu, w dokumentach odnaleziono jedynie miesiąc, dlatego przyjęto 15 sierpnia jako datę symboliczną. W dzieciństwie stracił ojca, który utonął w Niemnie, a ciężar wychowania spadł na matkę.

Pierwsze nauki pobierał u miejscowego organisty, nie uczęszczając do żadnej szkoły. Mimo to zdobyta wiedza okazała się na tyle solidna, że mógł uczyć



Wincenty Korotyński

młodszych braci, a później dzieci z okolicznych wsi. Wkrótce został domowym nauczycielem w rodzinach ziemiańskich Nowogródzczyzny, co otworzyło mu drogę do środowiska lokalnej inteligencji.

Jego życie mogłoby potoczyć się spokojnie i przewidywalnie, gdyby nie spotkanie z byłym unickim duchownym, ojcem Dawidowiczem. To on, usłyszawszy o poetyckich próbach młodzieńca, postanowił przedstawić go Ludwikowi Kondratowiczowi, znanemu jako Władysław Syrokomla. Ta chwila odmieniła los Korotyńskiego na zawsze.

Uczeń Syrokomli

Syrokomla szybko dostrzegł talent młodego samouka i zaproponował mu rolę sekretarza oraz pomocnika. Korotyński przepisywał rękopisy, porządkował przekłady, odpowiadał na korespondencję i towarzyszył poecie niemal we wszystkich jego przedsięwzięciach. Wspólna praca, rozmowy i bliskość intelektualna sprawiły, że Korotyński dojrzał literacko u boku jednego z najważniejszych twórców epoki.

W 1856 roku zadebiutował wierszem «Nad kołyską», a w tym samym roku ukazał się jego pierwszy tom poezji «Czym chata bogata...». W kolejnych latach wydał następne książki, a jego twórczość spotykała się z życzliwymi recenzjami. Choć korzystał z protekcji Syrokomli, nie był jedynie jego cieniem – miał własny styl, wrażliwość i ambicje.

Wspólnie z Syrokomlą tłumaczył pieśni Pierre’a Jeana de Bérangera, a także planował wydanie tomu poezji w języku białoruskim. Ten projekt nigdy nie doszedł do skutku, choć wiadomo, że obaj twórcy pisali po białorusku znacznie więcej, niż zachowało się do naszych czasów. Ich wspólny «białoruski tom» pozostaje jedną z największych literackich zagadek epoki.

Wierność mistrzowi

Po śmierci Syrokomli w 1862 roku Korotyński nie tylko opłakiwał przyjaciela, lecz także wziął na siebie obowiązek

opieki nad jego rodziną. Organizował pomoc finansową dla wdowy i dzieci, a po latach przygotował monumentalne, dziesięciotomowe wydanie poezji mistrza. Cały dochód z publikacji trafił do rodziny Kondratowiczów – był to gest lojalności, który przeszedł do legendy.

Jednocześnie Korotyński znalazł się w trudnej sytuacji politycznej. Po powstaniu styczniowym władze carskie prowadziły rewizję, podejrzewały go o udział w tworzeniu nielegalnej prasy i ograniczały możliwości publikacji. Atmosfera represji i strachu sprawiła, że w 1866 roku zdecydował się opuścić Wileńszczyznę i przenieść do Warszawy.

W stolicy Królestwa Polskiego rozpoczął nowy etap życia. Co znamienne, przestał pisać poezję – całą energię skierował ku publicystyce. Jego artykuły, szkice historyczne i teksty krajoznawcze ukazywały się w najważniejszych gazetach epoki, a on sam stał się jednym z najbardziej pracowitych warszawskich dziennikarzy.

Ostatnie lata warszawskiego «brodatego Litwina»

W Warszawie Korotyński zyskał przydomek «brodatego Litwina». Jego charakterystyczna sylwetka – mocna postura, gęsta broda i skupiony wzrok – była stałym elementem redakcji «Gazety Warszawskiej». «Brodaty Litwin» pracował niemal bez wytchnienia, utrzymując

liczną rodzinę: w 1859 roku ożenił się ze Stanisławą Jakubowicz, z którą miał dziesięcioro dzieci. Kilku jego synów poszło w ślady ojca i zostało znanymi dziennikarzami.

Jego publicystyka obejmowała szeroki wachlarz tematów: od biografii Mickiewicza i Domeyki, przez szkice o Tyszkiewiczach, po opisy Nowogródka, Sucka czy Stołpców.

Był jednym z tych autorów, którzy dokumentowali kulturę i historię dawnej Litwy i Białorusi w czasach, gdy pamięć o tych krainach była systematycznie wypierana.

7 lutego 1891 roku Wincenty Korotyński zmarł tak, jak żył – przy biurku, pochylony nad kolejnym tekstem.

Na jego pogrzebie nikt nie przemówił, ale prasa poświęciła mu pierwsze strony, żegnając go jako człowieka, który całe życie oddał słowu, pracy i pamięci o swojej ziemi.

Korotyński należy do pokolenia «ostatnich Litwinów» – ludzi urodzonych między powstaniem listopadowym a styczniowym, którzy wciąż myśleli kategoriami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W jego tekstach pobrzmiewa nostalgia za utraconą ojczyzną polityczną, ale też trzeźwe spojrzenie na współczesność i los prostego człowieka.

Opr. Adolf Gorzkowski



Fiasko licytacji ziemi ks. Okołotowicza

Próba licytacji ziemi należącej do księdza Henryka Okołotowicza zakończyła się fiaskiem. Nikt nie zgłosił się do zakupu rodzinnej działki duchownego.

Elektroniczna licytacja działki należącej do księdza Henryka Okołotowicza w Nowej Myszy w rejonie baranowickim nie doszła do skutku. Aukcja, wyznaczona na 24 lutego, została unieważniona z powodu braku chętnych do zakupu.

Niewielki grunt, stanowiący własność rodziców duchownego i położony w pobliżu jego rodzinnego domu, został wcześniej zajęty i wystawiony na sprzedaż «w celu spłaty zadłużenia wynikającego z postępowania egzekucyjnego». Podobny los spotkał także mikrobus należący formalnie do byłego proboszcza, choć faktycznie będący

własnością parafii. Z powodu zajęcia pojazd ten od ponad dwóch lat stoi nieużywany i prawdopodobnie również trafi na aukcję.

To kolejny etap egzekucji majątku księdza Okołotowicza, skazanego wcześniej na 11 lat więzienia pod zarzutem «zdrady państwa» oraz obciążonego obowiązkiem zapłaty rzekomej szkody w wysokości 1,7 mln rubli (około 500 tys. euro). W ramach spłaty zadłużenia sprzedano już prywatny, dwudziestoletni samochód księdza marki Volkswagen. Rodzinny dom duchownego na razie nie został wystawiony na licytację.

Ksiądz Henryk Okołotowicz przebywa obecnie w Rzymie, dokąd trafił wraz z ojcem Andrzejem Juchniewiczem OMI tuż po uwolnieniu z więzienia. Obaj nadal dochodzą do siebie po długotrwałym pobycie w izolacji, a ich dalszy los pozostaje niepewny.

a.pis/Katolik.life

«Moskwa 2042» po mińsku

Gdyby Władimir Wojnowicz żył dziś i zajrzał do Mińska, zapewne zatarłby ręce: oto rzeczywistość znów dogoniła satyrę. W jego antyutopii pt. «Moskwa 2042» wszystko było jasne — władza, duchowieństwo i wojsko tworzyły jedną, szczelnie zgraną konstrukcję, w której Ojciec Gwiazdoni błogosławił rakietę, a rakietę błogosławił Ojciec Gwiazdoni. Każdy znał swoje miejsce, a kto nie znał, temu je wskazywano.

Tymczasem w Mińsku, w lutym 2026 roku, odbyła się Msza, która — jak wynika z milczenia oficjalnych mediów katolickich — odbyć się chyba nie powinna. A jednak się odbyła. I to w samym sercu miasta, w katedrze, gdzie biskup pomocniczy archidiecezji Mińsko-Mohylewskiej Jury Kosobucki modlił się o pokój w Ukrainie, Ziemi Świętej i na całym świecie. Brzmi to jak coś zupełnie normalnego, wręcz oczywistego. Ale nie w rzeczywistości, w której kalendarz liturgiczny musi być zsynchronizowany z kalendarzem politycznym, a każde słowo — z linią ideologiczną.

Wojnowicz przewidział takie sytuacje. W jego powieści modlitwy o pokój były dopuszczalne tylko wtedy, gdy pokój oznaczał «zwycięstwo naszej strony». Wszelkie inne interpretacje były niebezpieczne, bo mogły sugerować, że świat jest bardziej skomplikowany niż jednowymiarowy komunikat z wieży kontrolnej.

W Mińsku wyglądało to podobnie. Msza o pokój została odprawiona, bo musiała — tak nakazała bowiem Rada Konferencji Episkopatów Europy, która alfabetycznie odprawienie Mszy o pokój na Białorusi wyznaczyła na 21 lutego. Ale już informowanie o niej? To co innego. Oficjalne media katolickie milczały o tej inicjatywie, jakby Msza była czymś



Tak portal Catholic.by zilustrował zapowiedź Mszy za «obrońców Ojczyzny» z życzeniami dla ministra obrony Białorusi z okazji 23 lutego. Okolicznościowej Eucharystii w Mińsku przewodniczył abp metropolita Józef Staniewski

wstydlwym, jakby modlitwa o pokój mogła zostać odczytana jako niebezpieczna aluzja. W «Moskwie 2042» takie rzeczy nazywano «ideologiczną mgłą», która mogła wprowadzić obywateli w stan niepożądanego myślenia.

Za to informacja o Mszy za «obrońców Ojczyzny» (z okazji Święta Sowieckiej Armii, obchodzonego 23 lutego – red.), którą odprawił metropolita Józef Staniewski, pojawiła się bez zwłoki i to na głównym portalu katolickim kraju. Z czerwoną gwiazdą w tle — symbolem, który w powieści Wojnowicza świecił nad każdym urzędem, koszarami i świątynią. Ojciec Gwiazdoni byłby dumny: oto duchowny, który wie, co należy nagłaśniać, a co przemilczeć.

Wojnowicz pisał, że w przyszłości redakcje będą działać jak automaty: publikować to, co trzeba, i nie publikować tego, co nie trzeba.

W Mińsku wygląda to dziś podobnie. Redaktorzy — jeśli jeszcze są — nie filtrują, nie wygładzają, nie tłumaczą. Po prostu wrzucają komunikaty, jak leci. A

jeśli czegoś wrzucić nie wypada, to znika to w cyfrowej próżni.

Msza o pokój? Odbyła się, ale jakby jej nie było.

Msza za obrońców Ojczyzny? Oczywiście, że odprawimy! I wszyscy będą o tym wiedzieć!

W «Moskwie 2042» bohaterowie żyli w świecie, w którym prawda była jak wosk: miękka, podatna, łatwa do uformowania. W Mińsku roku 2026 wosk ma się dobrze. I wciąż daje się modelować.

A jednak — i tu Wojnowicz pewnie by się uśmiechnął — zawsze znajdzie się ktoś, kto zauważy, że coś tu nie gra. Że modlitwa o pokój nie powinna być powodem do wstydu. Że czerwona gwiazda na katolickim portalu wygląda jak ponury żart, który wymknął się spod kontroli. Że świat nie jest powieścią satyryczną, choć czasem bardzo próbuje nią być.

I że nawet w najbardziej groteskowych czasach ktoś musi odprawić Mszę, której nikt nie chciał zauważyć.

Walery Kowalewski

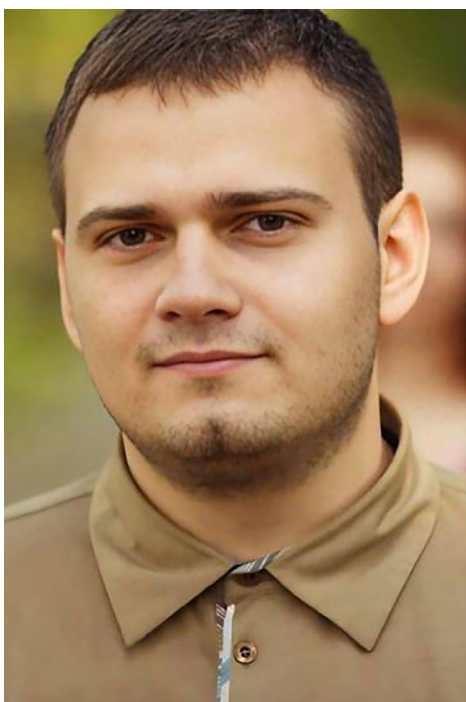
Katecheta z Mińska opuścił kolonię karną

Władysław Bieladziej, alumn seminarium i katecheta z mińskiej archikatedry, opuścił kolonię karną po ponad dwóch i pół roku odsiadki. Jego sprawa stała się jednym z najbardziej wstrząsających przykładów represji wobec osób związanych z Kościołem Katolickim na Białorusi.

Władysław Bieladziej, absolwent Instytutu Teologii Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego i alumn rzymskokatolickiego seminarium duchownego, został zatrzymany 31 maja 2023 roku, gdy odbywał praktyki katechetyczne w mińskiej archikatedrze. Początkowo trafił do aresztu na ponad 30 dni za rzekome rozpowszechnianie «materiałów ekstremistycznych».

W trakcie odsiadki, pod presją śledczych, zmuszono go do nagrania wymuszonego «przyznania się» do udziału w protestach 2020 roku i podżegania do zamieszek. Na propagandowym nagraniu, które miało go skompromitować w oczach wiernych, przedstawiono go również jako osobę o rzekomej orientacji homoseksualnej, co było elementem psychicznej przemocy stosowanej wobec zatrzymanego.

Wkrótce po zakończeniu kary administracyjnej wszczęto przeciwko niemu sprawę karną. Oskarżono go o podżeganie do nienawiści, obrazę Aleksandra Łukaszenki, obrazę przedstawiciela władzy oraz wyrób i rozpowszechnianie materiałów pornograficznych. Proces odbywał się za zamkniętymi drzwiami. Bieladziej został skazany na trzy lata pozbawienia wolności i trafił do kolonii karnej nr



17 w Szklowie, gdzie — jak informowały inicjatywy chrześcijańskie — jego stan zdrowia uległ znacznemu pogorszeniu.

W styczniu 2026 roku wyszedł na wolność po pełnym odbyciu wyroku. Białoruscy obrońcy praw człowieka uznali go za więźnia politycznego. W systemie penitencyjarnym reżimu Łukaszenki wciąż przebywa ponad 1100 osób o tym samym statusie.

WB/Nasza Niwa

Apel o dostęp do sarkofagu Edwarda Woyniłłowicza

Ks. Władysław Zawalniuk, były proboszcz zamkniętego dla parafian kościoła pw. św. Szymona i Heleny w Mińsku, zwrócił się do władz białoruskiej stolicy z prośbą o umożliwienie wiernym modlitwy przy sarkofagu fundatora świątyni przed 10. rocznicą ogłoszenia go Sługą Bożym.

W najnowszym nagraniu opublikowanym na kanale YouTube «Głos Duszy» ks. Zawalniuk, odpowiedzialny za proces beatyfikacyjny Edwarda Woyniłłowicza, poinformował, że skierował otwarty apel do dyrektora przedsiębiorstwa «Mińska Spadczyna» oraz przewodniczącego Mińskiego Komitetu Wykonawczego. Duchowny zabiega o to, by wierni mogli choć na krótko wejść na teren świątyni i pomodlić się przy sarkofagu fundatora Czerwonego Kościoła.

Jak zaznaczył, parafianie od ponad trzech lat nie mają dostępu ani do wnętrza kościoła, ani do miejsca spoczynku Woyniłłowicza. Remont świątyni wciąż trwa, a jego zakończenie przewidziano dopiero na styczeń 2027 roku. Wciąż nie ma pewności, czy po zakończeniu prac parafia będzie mogła powrócić do swojej historycznej siedziby.

W swoim wystąpieniu duchowny przypomniał również, że nie po raz pierwszy zwraca się do «Mińskiej Spadczyny» z podobną prośbą. Zdecydowanie się na formę otwartego listu może — jak sugeruje — świadczyć o wcześniejszych odmowach lub braku reakcji ze strony zarządcy obiektu.

Na zakończenie ks. Zawalniuk zapowiedział, że po rozmowie z przedstawicielami «Mińskiej



Ks. Władysław Zawalniuk

Spadczyny», jeśli do niej dojdzie, poinformuje wiernych o jej rezultatach.

EK/Katolik.life

Wyjątkowy dar dla kultury

W dniu 11 lutego, gdy przypada 219. rocznica urodzin wybitnego artysty, kompozytora i oświeceniowca Napoleona Ordy, nadeszła znakomita wiadomość. Inicjatywa kulturalna MALDZIS, dzięki środkom białoruskich darczyńców, wykupiła na aukcji w Polsce kolekcję 30 oryginalnych litografii mistrza.

To symboliczne «powrócenie» dzieł nastąpiło właśnie w dniu, w którym w 1807 roku w wiosce Worocewicze w powiecie pińskim przyszedł na świat Napoleon Orda — późniejszy główny «wizualizator» historii regionu. Zakup tych wyjątkowych prac jest jednym z najważniejszych współczesnych działań na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i przypomnienia dorobku artysty kolejnym pokoleniom.

Co znalazło się w kolekcji?

Zakupione prace to litografie z lat 70. XIX wieku, pochodzące z «Albumu historycznych widoków Rzeczypospolitej». Dziewiętnaście z nich przedstawia zabytki architektury Białorusi: zamki, pałace, kościoły i dwory w miejscowościach takich jak Szawry, Lida, Krewo, Gieraniony, Giejsztuny, Dziewiętnie, Żemłosław, Nieśwież, Mir, Nowogródek, Hruszówka, Smółgów, Łohojsk, Białynicze, Homel, Oświeja, Kamieniec, Skoki i Wysokie. Pozostałe jedenaście prac poświęcone jest krajobrazom dzisiejszej Litwy, Ukrainy i Polski.

Dzieła te są często jedynym źródłem wiedzy o tym, jak wyglądało nasze dziedzictwo przed zniszczeniami XX wieku. Szacuje się, że około połowa oryginalnych rysunków, na podstawie których wykonano te litografie, uznawa-



Ryhor Astapenia i Paweł Macukiewicz

na jest dziś za zaginioną, a znaczna część uwiecznionych obiektów już nie istnieje.

Znaczenie i wartość kolekcji

Wydanie «Albumu historycznych widoków Rzeczypospolitej», w którym opublikowano litografie, zostało sfinansowane przez samego Napoleona Ordę. W latach 1873–1883 ukazało się osiem serii albumu obejmujących łącznie 260 litografii w nakładzie przekraczającym tysiąc egzemplarzy. Dziś każdy z wykupionych arkuszy ma nie tylko wartość artystyczną, ale i dokumentacyjną — jest świadectwem tego, jak wyglądały pałace, dwory i miasta sprzed wojennych zniszczeń.

Powrót kolekcji stał się możliwy dzięki wspólnemu wsparciu białoruskich darczyńców: Pawła Carowa, Hanny Krawczenki, Jegora Jacuka, Darii Sliż, Andrieja Grabowskiego, Jurija K. oraz anonimowej mecenas.

— Dzięki litografiom Napoleona Ordy mamy realny obraz architektury i pejzaży drugiej połowy XIX wieku —

podkreśla kierownik inicjatywy MALDZIS, Paweł Macukiewicz. — Większość z przedstawionych dworów i pałaców w kolejnym stuleciu została skazana na zagładę.

— Napoleon Orda stworzył wizualny kod naszej kultury. Jego prace są zarówno dowodem naszej historycznej wielkości, jak i dokumentacją projektową dla przyszłych działań restauratorskich — dodaje opiekun inicjatywy Ryhor Astapenia.

W przyszłości kolekcja zostanie przekazana do Muzeum Napoleona Ordy w Worocewiczach, gdzie obecnie przechowywana jest jedynie jedna oryginalna litografia. Do tego czasu prace będą prezentowane za granicą.

Pierwsza okazja, by zobaczyć te wyjątkowe rarytasy, nadarzy się w Warszawie podczas wystawy «Białoruś Napoleona Ordy» w Muzeum Wolnej Białorusi, która potrwa od 28 lutego do 8 marca 2026 roku.

Emilia Kuklewska/maldzis.world

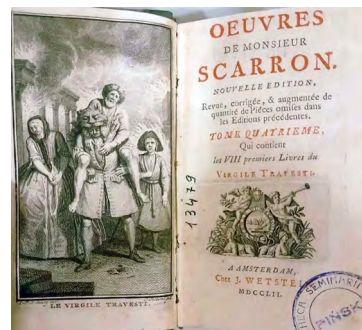
Po 85 latach ustalono los biblioteki z Pińska

Jedna z najstarszych bibliotek dawnego pogranicza Rzeczypospolitej — księgozbiór franciszkanów z Pińska — została po 1939 roku wywieziona przez ZSRR. Dziś wiadomo, że jej rozproszone zbiory znajdują się w Petersburgu. Badacz białoruskiego pochodzenia Andrej Kaławur, członek ICOM (Międzynarodowej Rady Muzeów), uzyskał oficjalne potwierdzenie tego faktu z rosyjskiego muzeum — pisze białoruska gazeta internetowa Nasza Niwa.

Nasza Niwa opisuje losy biblioteki franciszkanów z Pińska — jednego z najcenniejszych księgozbiorów na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Biblioteka, której początki sięgają XVII wieku, gromadziła dokumenty dotyczące historii Pińskiego Księstwa i Wielkiego Księstwa Litewskiego od XIV stulecia. W okresie międzywojennym opiekował się nią biskup Zygmunt Łoziński, Sługa Boży Kościoła Katolickiego.

Po wkroczeniu na Zachodnią Białoruś w 1939 roku Armii Czerwonej beczenne zbiory — bez zgody władz Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (BSRR) — zostały wywiezione do Moskwy. Trafiły do Centralnego Muzeum Antyreligijnego, gdzie pracował m.in. Julius Margolin (urodzony na początku XX stulecia w Pińsku znany żydowski filozof, pisarz i publicysta — red.). Według Margolina z Pińska wywieziono wówczas jedno z najbogatszych archiwów książkowych regionu, liczące ok. 50 tys. woluminów. Choć w 1941 roku Moskwa deklarowała, że «ważne dla Białorusi» materiały, wrócić do republiki, nigdy do niego nie doszło. Po wojnie Muzeum Antyreligijne zostało rozwiązane, a jego zbiory przeniesiono do Leningradu.

Pierwsze konkretne ślady pińskich zbiorów pojawiły się dopiero w 2022 roku, gdy rosyjskie badaczki opublikowały opracowanie pergaminowych



Wydana w 1752 r. książka Paula Scarrona ze zbiorów pińskich franciszkanów

dokumentów z archiwum klasztoru franciszkanów. Wśród nich znalazły się m.in.: przywilej królowej Bony z 1556 roku, dokumenty fundacyjne z XVIII wieku, dokumenty królewskie oraz papieska bulla Klemensa XI.

Andrej Kaławur, badacz z Uniwersytetu Masaryka (Czechy), zwrócił się do Państwowego Muzeum Historii Religii w Petersburgu jako członek ICOM — Międzynarodowej Rady Muzeów, globalnej organizacji zrzeszającej specjalistów ds. muzealnictwa i ochrony dziedzictwa. Dzięki temu uzyskał oficjalną odpowiedź, że znaczna część księgozbioru i rękopisów rzeczywiście znajduje się w petersburskim muzeum, choć rozproszona po różnych działach i nigdy nieopracowana jako osobna kolekcja.

W dziale rzadkiej książki Muzeum Historii Religii w Petersburgu odnaleziono m.in. wydania z XVI–XVIII wieku, w tym dzieła średniowiecznego teologa i kaznodziei franciszkańskiego Bertranda de la Toura (wyd. 1501 r.), renesansowego autora i moralisty francuskiego Jeana Inassena (wyd. 1578 r.) czy francuskiego barokowego pisarza, mistrza satyry i parodii — Paula Scarrona (wyd. 1752 r.).

W dziale rękopisów te same instytucje znajduje się ponad 50 dokumentów z Pińska, a pełna liczba obiektów wciąż jest ustalana. Jak podkreślają specjaliści odnalezione zbiory są dostępne do badań i częściowej digitalizacji.

Walery Kowalewski/Nasza Niwa

Historia odbita na papierze

Od 20 lutego do końca marca w Nowym Zamku w Grodnie będzie można zobaczyć wystawę pt. «Historia grodzieńskiej litografii», poświęconą ponadstuletniej działalności jednego z najważniejszych zakładów poligraficznych regionu. To opowieść o przedsiębiorstwie, które zmieniało nazwy i właścicieli, ale niezmiennie współtworzyło wizualny pejzaż miasta — od czasów carskich, przez okres II Rzeczypospolitej po realia powojenne.

Początki tej historii sięgają XIX wieku, kiedy w Grodnie działała typolitografia Łapińów, znana z wysokiej jakości druków i eleganckich projektów użytkowych.

W pierwszych dekadach XX wieku zakład rozwijał się dynamicznie, aż do momentu, gdy po przewrocie bolszewickim w Rosji i kolejnych zmianach politycznych był stopniowo przejmowany przez nowe władze. Proces nacjonalizacji zakończył się w 1920 roku, kiedy bolszewicy ostatecznie przejęli kontrolę nad Grodnem, a dawna typolitografia Łapińów została włączona do systemu państwowych przedsiębiorstw poligraficznych i zaczęła funkcjonować jako Białoruska Republikańska Litografia. W okresie II Rzeczypospolitej, gdy miasto znalazło się w granicach Polski, zakład działał nadal, dostosowując się do nowych realiów administracyjnych i rynkowych, a po II wojnie światowej przekształcił się w Grodzieńską Fabrykę



Druku Offsetowego.

Wystawa pozwala zajrzeć do świata, który zwykle pozostaje w archiwach: etykiet cukierków i produktów spożywczych, plakatów reklamowych i teatralnych, miejskich afiszy, kart do gry o najróżniejszych wzorach, a także projektów graficznych, które dziś zachwycają stylem i precyzją wykonania. To nie tylko przegląd dawnych technik drukarskich, lecz także zapis codzienności — tego, co w Grodnie kupowano, jak reklamowano, jak bawiono się i jak informowano o



wydarzeniach publicznych.

Wizyta w Nowym Zamku stanie się okazją, by zobaczyć, jak zmieniała się estetyka Grodna na przestrzeni ponad stu lat i jak jedno przedsiębiorstwo potrafiło przetrwać burze historii, pozostawiając po sobie bogaty i zaskakujący różnorodny dorobek. Dla miłośników historii miasta, grafiki użytkowej i dawnych technik druku będzie to spotkanie z przeszłością, która wciąż potrafi zaskoczyć świeżością i pomysłowością.

a.pis/GMH-A

Księga grodzka oszmiańska dostępna do pobrania!

Stało się! Po latach oczekiwań i po ogłoszeniu nowego wydania Księgi grodzkiej oszmiańskiej (1650–1719) pojawiła się możliwość bezpośredniego pobierania tomów tego niezwykle cennego źródła do dziejów szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego.

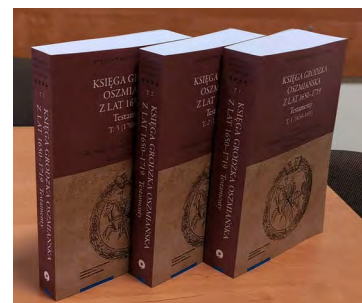
Dzięki uprzejmości Wydawnictwa Naukowego UMK, we współpracy ze społecznością „Archiwalia oszmiańskie: edycja ksiąg grodzkich oszmiańskich z lat 1661–1780”, udostępniono komplet trzech tomów publikacji.

Wszystkie tomy można pobrać bezpośrednio ze strony wydawnictwa:

Księga Grodzka Oszmiańska z lat 1650–1719. Testamenty. Tom 1 (1650–1691) — dostępny online;

Księga Grodzka Oszmiańska z lat 1650–1719. Testamenty. Tom 2 (1692–1707) — dostępny online;

Księga Grodzka Oszmiańska z lat 1650–1719. Testamenty. Tom 3 (1708–



1719) — dostępny online.

Pełna strona publikacji (z dostępem do wszystkich tomów): <https://wydawnictwo.umk.pl/produkt/ksiega-grodzka-oszmianska-z-lat-1650-1719>.

To wyjątkowa okazja, by sięgnąć do materiałów, które dotąd pozostawały w zasięgu głównie archiwów i specjalistycznych opracowań. Teraz badacze, genealogi, regionaliści oraz wszyscy zainteresowani historią Wielkiego Księstwa Litewskiego mogą korzystać z nich w wersji cyfrowej. Życzymy owocnych poszukiwań!

edycja.ksiag.grodzkich.oszmianskich

Aleksander Gieysztor – erudyta z Nowogródzczyzny

Zmarł 9 lutego 1999 roku, pozostawiając po sobie dorobek, który ukształtował polską humanistykę na kilka pokoleń. Choć całe życie zawodowe spędził w Warszawie, jego tożsamość wyrastała z krajobrazu Nowogródzczyzny — ziemi dzisiejszej Białorusi, z której pochodził jego ród. Ta kresowa pamięć, spleciona z europejską formacją intelektualną, stworzyła uczonego o wyjątkowej wrażliwości, sformowanej na pograniczu kultur.

Kresowe korzenie i narodziny pasji

Aleksander Gieysztor przyszedł na świat 17 lipca 1916 roku w Moskwie, dokąd jego rodzina — polsko-litewski ród szlachecki z Płaskowicz (folwark koło Nieświeża – red.) na Nowogródzczyźnie — trafiła w czasie I wojny światowej. W domu żywa była pamięć o «rodzinnej Białorusi», jak sam później mówił, o ziemi, z której wywędrowali Gieysztorowie. Nie była to genealogiczna ciekawostka, lecz element jego tożsamości, pielęgnowany w rodzinnych opowieściach. Ta kresowa tradycja, pełna wielojęzyczności i kulturowej różnorodności, stała się jednym z fundamentów jego późniejszej wrażliwości naukowej.

Po rewolucji bolszewickiej rodzina Gieysztorów repatriowała się do Warszawy, gdzie ojciec objął stanowisko w zarządzie Małopolskiego Banku. Wychowaniem małego «Alesia» (jak nazywano go w domu – red.) zajmowała się matka, Barbara z Popielów, dbając o to, by syn od najmłodszych lat chłoniął języki i kulturę. Uczył się rosyjskiego, francuskiego i gry na fortepianie — a więc wszystkiego, co w rodzinach kresowych uchodziło za naturalny element formacji młodego człowieka.

Wspomnienia o Nowogródzczyźnie tymczasem tworzyły dla Gieysztora wyobrażony pejzaż dzieciństwa — przestrzeń wielojęzyczną, wielowyznaniową, przenikniętą historią. To właśnie z tej tradycji pogranicza wyrastała jego późniejsza wrażliwość na złożoność procesów historycznych. Kresowe pochodzenie nie było dla niego wprawdzie tematem do publicznego eksponowania, ale wracało w rozmowach, gdy mówił o kulturze pogranicza, o dawnych ziemiach Wielkiego Księstwa, o świecie, w którym granice były płynne, a tożsamość — wielowarstwowa. Ten sposób myślenia przeniknął jego naukowe spojrzenie na średniowiecze i państwo Piastów.

W gimnazjum Ludwika Lorentza trafił na nauczycieli, którzy ukształtowali jego intelektualny świat: Stanisława Ossowskiego, Bronisława Weczerkiewicza, Stanisława Helścińskiego, Czesława Pawłowskiego. Młody człowiek szczególnie dużo zawdzięczał Bolesławowi Gutmanowi, który nauczył go czytać trudne łacińskie teksty.

To właśnie w szkolnej bibliotece Aleksander znalazł książkę, która przesądziła o jego przyszłości — «Ród Awdanów w średniowieczu» Władysława Semkowicza. Przeczytał ją jednym tchem i zrozumiał, że chce zostać mediewistą.

Mistrzowie, wojna i pierwsze książki

W 1933 roku rozpoczął studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie jego mistrzami stali się Tadeusz Manteuffel, Stanisław Kętrzyński i Marceili Handelsman. Seminarium tego ostatniego — «privatissimum» — było kuźnią



Historyk mediewista Aleksander Gieysztor

talentów, a Gieysztor należał do jego najzdolniejszych uczniów. Już w 1935 roku zadebiutował na Zjeździe Historyków w Wilnie, a dwa lata później obronił pracę magisterską o Karolu Wielkim.

Stypendium pozwoliło mu studiować w paryskiej École Pratique des Hautes Études, gdzie zetknął się z europejską elitą naukową. Gdy w 1939 roku wrócił do Polski, kraj był już w stanie wojny. W okupowanej Warszawie Gieysztor łączył działalność w Armii Krajowej — w dziale informacji i propagandy — z wykładaniem na tajnym uniwersytecie. W konspiracji napisał i obronił doktorat o genezie krucjat i encyklicie papieża Sergiusza IV.

Po upadku Powstania Warszawskiego trafił do niewoli w Sandbostel, a później w Gross-Born. Tam, razem ze Stanisławem Płoskim, napisał pierwszą historię Powstania Warszawskiego — «na gorąco», z pamięci, wśród współwięźniów. Po wyzwoleniu wrócił pieszo do zrujnowanej Warszawy, gotów odbudowywać naukę od podstaw.

Odrodzenie nauki, działalność publiczna i cień podejrzeń

Powojenna Polska była krajem, który niewiele przypominał tę sprzed 1939 roku. Gieysztor początkowo angażował się w działalność podziemną, ale jego mistrz Manteuffel stanowczo mu to odradził: „Teraz nie czas na partyzantkę — tworzymy uniwersytet”. To zdanie stało się dla Aleksandra drogowskazem. W 1945 roku rozpoczął pracę w Instytucie Historii Sztuki i Inwentaryzacji Zabytków, a wkrótce potem wrócił na Uniwersytet Warszawski.

W tym okresie pojawiły się także podejrzania o kontakty Gieysztora z UB, które do dziś bywają przywoływane. Historycy, w tym badacze IPN, podkreślają jednak, że miały one charakter krótkotrwały, wymuszony realiami epoki i nie przyniosły nikomu szkody. Nie ma dowodów, by Gieysztor komukolwiek zaszkodził, a jego postawa w kolejnych dekadach — wielokrotne protesty przeciw cenzurze, podpisanie «Listu 34», udział w «Apelu 64» — świadczy o jego niezależności i odwadze cywilnej.

Przez dwadzieścia lat uczony z kresowym rodowodem i europejską edukacją kierował Instytutem Historycznym UW, tworząc środowisko, które stało się jednym z najważniejszych ośrodków humanistyki w Europie Środkowej. Wspierał kontakty międzynarodowe, otwierał polską naukę na świat, a jego uczniowie — m.in. Karol Modzelewski — wspominali go jako mistrza wymagającego, ale sprawiedliwego. W 1989 roku Aleksander Gieysztor przewodniczył ostatniemu posiedzeniu obrad Okrągłego Stołu, symbolicznie domykając epokę PRL, w której przyszło mu żyć i pracować.

Gieysztor wobec zbrodni katyńskiej

Choć Aleksander Gieysztor unikał politycznych deklaracji, w sprawie zbrodni

ni katyńskiej zabrał głos w sposób jednoznaczny — jako uczony przekonany, że prawda historyczna musi zostać ujawniona i udokumentowana. W latach 90. współredagował, wraz z rosyjskim historykiem Rudolfem Pichoją, monumentalną czterotomową edycję źródeł «Katyń. Jeńcy nieogłoszonej wojny. Dokumenty i materiały» (1997). Było to pierwsze tak szerokie, wspólne polsko-rosyjskie opracowanie dokumentów dotyczących zbrodni, a jego publikacja stanowiła przełom w badaniach nad Katyniem. Gieysztor uważał, że bez rzetelnego ujawnienia archiwów nie można uczciwie opowiedzieć historii XX wieku.

Jego zaangażowanie w prace nad dokumentacją katyńską wynikało z głębokiego przekonania, że historyk ma obowiązek «oczyszczać pamięć» poprzez udostępnianie źródeł, niezależnie od politycznych konsekwencji. W swoich wypowiedziach podkreślał, że Katyń jest nie tylko tragedią narodową, lecz także sprawdzianem dla nauki — testem, czy potrafi ona stanąć ponad naciskami i manipulacją. W tym sensie jego praca nad edycją dokumentów była nie tylko przedsięwzięciem naukowym, lecz także aktem obywatelskiej odwagi.

Strażnik pamięci

Jedną z największych życiowych misji Gieysztora była odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie. Przez 25 lat uczony pracował nad jego wskrzeszeniem, a przez 12 lat był jego pierwszym dyrektorem. Dla niego zamek był symbolem — nie tylko architektonicznym, lecz także moralnym. „Książki przeczytają albo nie, ale zamek będzie stał” — powtarzał. Wbrew sceptykom doprowadził do rekonstrukcji, którą dziś uważa się za jedno z największych osiągnięć polskiej kultury powojennej.

Dbął o każdy detal, szukał fundatorów za granicą, odbudowywał zbiory, które spłonęły w czasie wojny. Jego własna biblioteka rodzinna została zniszczona, ale przez całe życie odbudowywał ją na nowo — z pasją bibliofila i świadomością, że książki są częścią pamięci. Wiele z nich przekazał później Zamkowi.

Był także aktywny w Polskiej Akademii Nauk, której został prezesem na dwie kadencje. Otrzymał liczne odznaczenia międzynarodowe, a jego bibliografia — ponad tysiąc prac — obejmuje zarówno studia nad karolińską Europą, jak i badania nad mitologią Słowian, kulturą pogranicza, językoznawstwem czy historią II wojny światowej.

Do końca życia prowadził seminaria, otoczony szacunkiem studentów i współpracowników. W jego myśleniu o kulturze i historii zawsze pobrzmiwał ton kresowy — pamięć o ziemi, z której wyrósł.

Nasz wybitny krajan Aleksander Gieysztor zmarł 9 lutego 1999 roku w Warszawie po półrocznej chorobie i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim.

Opr. Waleria Kowalewski

Witold Eugeniusz Orłowski – twórca nowoczesnej interny

Urodzony w Norwidpolu w Gubernii Mińskiej, Witold Eugeniusz Orłowski (1874–1966) stał się jednym z najwybitniejszych polskich internistów XX wieku. Jako pionier fizjopatologii i biochemii, twórca nowoczesnej kliniki i wybitny nauczyciel akademicki, kształcił pokolenia lekarzy, prowadził badania naukowe, a jego dorobek do dziś inspirował medyków w Polsce, w Rosji, na Białorusi i w Europie Środkowej.



Witold Eugeniusz Orłowski



Pamiątkowy medal wybitny z okazji 50. lecia Szpitala Klinicznego im. prof. dr. Witolda Orłowskiego

6 lutego (według kalendarza juliańskiego) 1874 roku w Norwidpolu, w Gubernii Mińskiej, na terenie ówczesnego Imperium Rosyjskiego, przyszedł na świat Witold Eugeniusz Orłowski – jeden z najwybitniejszych polskich lekarzy internistów i twórca nowoczesnej polskiej szkoły medycyny wewnętrznej. Był synem Franciszka Orłowskiego, zarządcy majątku Tukały Milec i Pauliny z Onichimowskich oraz młodszym bratem Zenona Orłowskiego (lekarz, balneolog, profesor chorób wewnętrznych na Uniwersytecie Wileńskim, wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim.

Nasz bohater dorastał w folwarku Norwidpol w powiecie borysowskim, w wielokulturowym środowisku, które ukształtowało jego wrażliwość i ciekawość świata. Już od najmłodszych lat Orłowski wyróżniał się talentem naukowym. W 1891 roku ukończył gimnazjum w Wilnie ze złotym medalem, a następnie podjął studia w prestiżowej Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu, którą ukończył w listopadzie 1896 roku z wyróżnieniem. Doktorat z medycyny uzyskał 12 marca 1900 roku, tytuł docenta w 1903 roku, profesora nadzwyczajnego w 1907, a profesora zwyczajnego w 1913 roku na Uniwersytecie w Kazaniu.

Przez ponad dziesięć lat pracował w Klinice Chorób Wewnętrznych w Petersburgu, zdobywając doświadczenie kliniczne i naukowe oraz publikując pierwsze prace. W Kazaniu, a następnie w Tomsku (1918–1919), rozwijał nowoczesne metody diagnostyki i leczenia chorób wewnętrznych oraz angażował się w działania społeczne, w tym walkę z gruźlicą.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Orłowski objął w 1920 roku katedrę medycyny wewnętrznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie wykładał do 1925 roku. Następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie przez 22 lata kierował II Kliniką Wewnętrzną Uniwersytetu Warszawskiego, będąc pionierem fizjopatologii i biochemii w polskiej internie. Wydał rozprawy naukowe z zakresu przemiany materii i przewodnictwa pokarmowego oraz opublikował przeszło 200 prac naukowych, szczególnie z zakresu kardiologii. Był redaktorem naczelnym Polskiego Archiwum Medycyny Wewnętrznej (1928–1948) i członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (1927), Polskiej Akademii Umiejętności (1928) oraz Polskiej Akademii Nauk (1951).

W czasie II wojny światowej Orłowski uczestniczył w tajnym nauczaniu medycyny, a w 1943 roku grupa żydowskich lekarzy przekazała mu wyniki badań nad głodem prowadzonych w Getcie Warszawskim, co umożliwiło ich publikację po zakończeniu wojny. Wykształcił wielu przy-

szłych lekarzy, którzy kontynuowali jego dorobek w Polsce i Europie. Za swoje osiągnięcia otrzymał liczne doktoraty honoris causa, m.in. Akademii Medycznej w Łodzi (1958) i Uniwersytetu Jagiellońskiego (1964), a w 1959 roku został laureatem nagrody państwowej I stopnia.

Profesor Orłowski był także patronem Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego im. prof. dr. Witolda Orłowskiego w Warszawie. Budynek szpitala przy ul. Czerniakowskiej został wzniesiony w latach 30. XX wieku według projektu Romualda Gutta i Józefa Jankowskiego, pierwotnie jako siedziba biur Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych. Podczas Powstania Warszawskiego gmach pełnił funkcję szpitala powstańczego, a po wojnie mieściły się w nim m.in. biura ZUS i Ministerstwa Pracy. W 1957 roku budynek ponownie przekazano na potrzeby szpitalne, który uzyskał rangę Szpitala Wojewódzkiego.

Z okazji jubileuszy Szpitala Klinicznego wybito pamiątkowe medale: z okazji 50-lecia (1957–2007) medal złoty z wizerunkiem profesora na awersie i tarczą herbowa z symbolem medycyny na rewersie, a z okazji 40-lecia (1957–1997) medal srebrny z wizerunkiem profesora i budynkiem szpitala na rewersie. Oba medale sygnowane były znakami menniczymi.

Życie prywatne profesora było również bogate: z małżeństwa z Aliną z Trzeciakowskich miał czworo dzieci – Alinę, lektorkę języka niemieckiego; Witolda, inżyniera chemika; Irenę, stomatologa; oraz Tadeusza, profesora chorób wewnętrznych i dyrektora Instytutu Transplantologii w Warszawie. Był stryjem Olgi Teresy Mioduszewskiej, anatomopatologa w Instytucie Onkologii w Warszawie.

Profesor Orłowski zmarł 2 grudnia 1966 roku w Warszawie, pozostawiając po sobie dorobek dydaktyczny, kliniczny i tradycję empatycznej medycyny. Pochowany na cmentarzu Stare Powązki w Warszawie (kwatery 337-4-1).

Opr. Waleria Brażuk

Kapitan z Pińska na olimpijskim lodzie

Na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich nie zobaczyliśmy polskiej reprezentacji hokejowej — biało-czerwoni nie zdołali wywalczyć awansu. A jednak w historii polskiego sportu były czasy, gdy nasi hokeiści nie tylko pojawiali się na olimpijskich arenach, ale potrafili walczyć z najlepszymi. Jednym z ludzi, którzy tworzyli tamtą epokę, był nasz krajan Tadeusz Sachs — urodzony w Pińsku sportowiec, kapitan kadry, trener, menedżer i pierwszy olimpijczyk z ziem dzisiejszej Białorusi. Jego losy to opowieść o ambicji, odwadze i tragicznej epoce, która przerwała wiele obiecujących karier.

Chłopak z Pińska, który pokochał lód

Tadeusz Izrael Sachs przyszedł na świat 18 czerwca 1899 roku w Pińsku, w rodzinie żydowskiego fabrykanta z Łodzi. Jako nastolatek trafił do prywatnej szkoły w Zurychu — i to właśnie tam po raz pierwszy zetknął się z hokejem na lodzie. Szwajcarskie lodowiska, nowoczesne i tętniące sportowym życiem, szybko stały się jego naturalnym środowiskiem.

W latach 1917–1919 grał w klubach Rossey Gstaad i Akademischer Hockey Club Zürich. Zdobyte tam doświadczenie okazało się bezcenne, gdy po powrocie do Polski zaczął budować swoją pozycję w rodzącym się dopiero polskim hokeju. Występował w Unii Łódź, a później w warszawskich drużynach akademickich, wyróżniając się nie tylko umiejętnościami, ale też zmysłem organizacyjnym.

Lider, który potrafił łączyć role

W latach 30. Sachs stał się jedną z najważniejszych postaci polskiego hokeja. Był zawodnikiem, kapitanem, trenerem i menedżerem — człowiekiem, który potrafił spiąć drużynę w całość, nadać jej strukturę i ambicję. W czasach, gdy hokej w Polsce dopiero raczkował, a sprzęt i warunki treningowe pozostawiały wiele do życzenia, jego kompetencje były na wagę złota.

Najlepszy olimpijski wynik w historii polskiego hokeja

W 1932 roku polska reprezentacja wyruszyła na Zimowe Igrzyska Olimpijskie do Lake Placid. Sama podróż była wyzwaniem logistycznym i finansowym: wyjazd umożliwiła zbiórka Polonii amerykańskiej, a część kosztów drużyna pokryła, rozgrywając mecze towarzyskie w drodze do USA.

Tadeusz Sachs znalazł się w składzie reprezentacji w potrójnej roli: rezerwowego bramkarza, trenera i menedżera. Polacy zajęli wówczas czwarte miejsce, najlepsze w historii olimpijskich startów hokejowej kadry. Choć w turnieju uczestniczyły tylko cztery drużyny, wynik ten do dziś budzi szacunek, zwłaszcza że biało-czerwoni grali w okrojonym składzie, często z kontuzjami i bez możliwości zmian.

Sachs nie pojawił się na lodzie, ale to



Tadeusz Sachs w swetrze bramkarza reprezentacji Polski



Reprezentacja Polski na Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Lake Placid na statku pasażerskim SS France, Tadeusz Sachs - siedzi drugi od lewej, 1932 r.



Polscy hokeiści na spotkaniu z konsulem generalnym RP w Chicago po występie na Olimpiadzie w Lake Placid, Tadeusz Sachs - siedzi po lewej, 1932 r.

on trzymał w rękach wszystkie nici: taktykę, przygotowanie, morale. Był liderem, który potrafił wycisnąć z drużyny maksimum.

Odmówił igrzysk w nazistowskich Niemczech

Gdy w 1936 roku igrzyska miały odbyć się w Garmisch-Partenkirchen, Sachs podjął decyzję, która wiele mówi o jego charakterze. Jako polski Żyd odmówił wyjazdu do Niemiec. Nie chciał firmować swoją obecnością państwa, które coraz brutalniej prześladowało jego narodową społeczność. W czasach, gdy wielu sportowców wybierało milczenie, on wybrał postawę.

Wojna, Pawiak, Auschwitz — tragiczny finał życia

Po wybuchu II wojny światowej Sachs znalazł się w okupowanej Warszawie. Najprawdopodobniej trafił do getta. Został aresztowany i osadzony na Pawiaku — miejscu, przez które przeszły tysiące więźniów. 16 lipca 1942 roku

przewieziono go do Auschwitz. Tam też zginął 3 sierpnia 1942 roku.

Jego życie zostało brutalnie przerwane, ale pamięć o nim przetrwała — w kronikach sportu, w archiwach olimpijskich i w historii Pińska.

W czasie, gdy współczesne igrzyska to spektakl technologii, mediów i globalnej rywalizacji, postać Tadeusza Sachsa przypomina, że sport bywał kiedyś czymś znacznie bardziej surowym, ale też bardziej osobistym. Życiorys naszego krajana to opowieść o człowieku, który z Pińska trafił na olimpijskie lodowiska, który budował polski hokej od podstaw i który w obliczu zła zachował godność.

Dziś, gdy polskich hokeistów brakuje na olimpijskich arenach, warto wrócić do historii tych, którzy przecierali szlaki. Tadeusz Sachs był jednym z nich — pionierem, kapitanem, trenerem, a przede wszystkim człowiekiem, którego życie i śmierć mówią więcej o XX wieku niż niejeden podręcznik.

Adolf Gorzkowski/Palanto.media



Maria Żodzik Sportowcem Roku!

Nasza krajanka Maria Żodzik z KS Podlasie Białystok została wybrana Sportowcem Roku 2025 w dorocznym rankingu Podlaskiej Rady Olimpijskiej. To wyróżnienie podsumowuje jej fenomenalny sezon, w którym sięgnęła po wicemistrzostwo świata w skoku wzwyż i ustanowiła rekord życiowy wynikiem 2.00 m.

Podlaska Rada Olimpijska ogłosiła wyniki rankingu po roku pełnym emocji, sportowych zwrotów akcji i walki o najwyższe cele. Wśród laureatów znalazła się czołówka podlaskiego sportu, ale to właśnie Żodzik okazała się bezkonkurencyjna. Jej medal zdobyty w Tokio — jedyny dla Polski na ubiegłorocznych mistrzostwach świata — oraz świetny występ podczas Drużynowych Mistrzostw Europy przesądziły o zwycięstwie w zestawieniu.

Droga Marii Żodzik do tego sukcesu była jednak znacznie dłuższa i bardziej złożona. Urodzona w 1997 roku w Baranowiczach na Białorusi, do Polski trafiła dopiero w 2022 roku, po tym jak podpisała list otwarty białoruskich sportowców potępiający fałszowanie wyników wyborów prezydenckich w 2020 roku i brutalność służb wobec protestujących. Publicznie sprzeciwiła się również rosyjskiej agresji na Ukrainę i współudziałowi Białorusi w tej wojnie. W obliczu represji oraz wykluczenia białoruskich sportowców z międzynarodowych zawodów zdecydowała się na emigrację. „Albo jadę do Polski i

dołączam do kadry, albo kończę karierę sportową” — wspominała w rozmowie z TVP Sport.

W Białymstoku zaczynała od zera: z barierą językową, bez stabilnych środków do życia, z poczuciem samotności. Pracowała w McDonaldzie, próbując łączyć treningi z zarabianiem na utrzymanie. „Stoję przy frytkach i mówię sobie: «Co ja tu robię? Przecież chcę skakać wzwyż»” — opowiadała. Najtrudniejszy był jednak brak bliskich. Rodzina odwiedza ją raz w roku, a mama i brat nie mogą wyjechać z Białorusi, bo opiekują się babcią.

Mimo tych przeszkód Żodzik konsekwentnie budowała formę pod okiem trenera Pawła Wyszyńskiego. Sezon 2025 nazwała «supertrudnym» — tuż przed mistrzostwami świata zmagając się z kontuzją, a dzień przed wyjazdem doznała kolejnego mikrourazu. W Tokio, w deszczu i ogromnym napięciu, pokonała poprzeczkę na wysokości 2 metrów, zdobywając medal, który odmienił jej karierę.

W 2024 roku otrzymała polskie obywatelstwo z rąk prezydenta Andrzeja Dudy. „25 lat czułam się stuprocentową Białorusinką. Teraz uważam, że to pół na pół. Już jestem tutaj swoją” — mówi.

Choć Maria Żodzik cieszy się z wyróżnienia i medalu, nie zamierza zwalniać tempa. „To już historia. Teraz chcę dalej trenować i jeździć na zawody” — podkreśla. Jej historia — pełna odwagi, konsekwencji i walki o prawo do uprawiania sportu — stała się jedną z najbardziej inspirujących opowieści podlaskiego i polskiego sportu ostatnich lat.

a.pis

Maria Żodzik z rekordem życiowym

Maria Żodzik potwierdziła swoją znakomitą formę, zwyciężając w konkursie skoku wzwyż podczas Copernicus Cup w Toruniu. Polka pochodząca z Baranowicz pokonała wysokość 1,98 m, ustanawiając nowy rekord życiowy w hali oraz triumfując w całym cyklu World Athletics Indoor Tour Gold.

Żodzik skakała pewnie i stabilnie, nie pozostawiając rywalkom wątpliwości. Jej rekordowy skok był najlepszym wynikiem zawodów i potwier-

dzeniem, że należy do światowej czołówki skoku wzwyż.

Jej kariera nabrała rozpędu po uzyskaniu polskiego obywatelstwa w 2024 roku. Już rok później zdobyła srebrny medal mistrzostw świata w Tokio, pokonując wysokość 2,00 m. Był to przełomowy sukces, który otworzył przed nią drogę do kolejnych osiągnięć.

Rezultat osiągnięty w Toruniu pokazuje, że Maria Żodzik utrzymuje wysoką formę i pozostaje jedną z najważniejszych zawodniczek reprezentacji Polski przed nadchodzącymi najważniejszymi zawodami sezonu.

IT-P



Głos znad Niemna jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Polaków na Białorusi. Ukazuje się od 1989 roku, a od 2005 roku jest wydawany na uchodźstwie.

portal internetowy
ZNADNIEMNA.PL